Świat Kobiecy



Rok ósmy — Nr 22 15 listopada 1928

TREŚĆ NUMERU 22 „ŚWIATA KOBIECEGO":

Okładkę projektował *Ksawery Koźmiński*

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji (Lwów, Chorążczyzna 27), miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł. 10·50, półrocznie zł. 18·—, rocznie zł. 36·—. — Numer pojedyńczy 2 zł.

Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem P. K. O. (Konto Nr. 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście znaczkami pocztowemi.

Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazetowych i t. p. — Cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów **miesięcznie zł. 3·60, kwartalnie zł. 10·—** lub na poczcie **cena miesięczna zł. 3·66, kwartalna zł. 10·17.**

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | NR 22 — ROK VIII | WARSZAWA — LWÓW | 15 LISTOPADA 1928 ROKU

WSPÓŁCZESNA PANNA WRACA DO KOBIECOŚCI

WYBITNI ARTYŚCI AMERYKAŃSCY O DZIEWCZYNIE WSPÓŁCZESNEJ

„Panna 1928” jest pełna ponęt. Jest pewna siebie, a jednak melancholijna. Typ „konia pociągowego” znikł na zawsze, miejsce zaś jego zajął typ „konia wyścigowego”. Nadewszystko, dziewczyna w roku 1928 zrozumiała, że jest bardziej ponętna dla mężczyzny wówczas, kiedy z nim nie współzawodniczy, lecz kiedy jest jego przeciwieństwem. Dlatego jest ona kobieca. Nie jest to równoznaczne z koronkami, dołeczkami i dziecinną buzią bez wyrazu; oznacza to faliste włosy, strojne, dobrze dopasowane ubranie, szczupłe nogi i bezgraniczny, ale mądrze opanowany wdzięk.

Penrhyn Stanlaws, którego zagadnięto w jego pracowni w chwili, gdy dla wielkiego ilustrowanego tygodnika unieśmiertelniał młodą dziewczynę w stroju popołudniowym na szykownej „herbatce”, powiedział, iż dziewczynę z roku 1928 uważa za odległy oddźwięk hożej a pełnokształtnej kobiety Rubensa.

DOSKONAŁOŚĆ DZISIEJSZEGO DZIEWCZĘCIA

„Poczynając od owych czasów, pewien typ dziewczyny rozwijał się stale, a dzisiejszy rozkoszny wynik tego rozwoju stanowi sam w sobie doskonałość. Modną dziś dziewczyną jest typ pełnokrwisty, typ konia wyścigowego” — oświadczył. — „Typ konia pociągowego zanika. Grube nogi i kostki, ten skutek zbyt wielu ćwiczeń atletycznych, oraz uścisk ręki miażdżący ci wszystkie kości — stają się coraz mniej typowe dla wdzięcznej dziewczyny obecnej.

„Lubię podlotki i lubię noszone przez nie stroje. Lub raczej noszony przez nie brak stroju. Starodawna krynolina i sute toalety były same w sobie ładne, ale spojrzeć tylko na dziewczynę, zatopioną w obfitych fałdach owych bogatych kreacyj. Stroje te wisiały poprostu na niej jak na ramie, a przecież każdy pierwszy lepszy manekin drewniany może mieć piękny strój na sobie.

„Dzisiaj, ku wielkiemu pożytkowi swego zdrowia i swej figury, dziewczyna nosi możliwie najmniej szmatek. Przedewszystkiem dostrzegamy ją samą, toaleta zaś jej, w przeważającej liczbie wypadków, podkreśla i podnosi jej urodę.

„WIEK IDEALNY”

„Podług mnie wiekiem idealnym jest wiek pomiędzy rokiem siedemnastym a dwudziestym drugim. Pączek kwiatowy jest zawsze bardziej intrygujący aniżeli kwiat w pełnym rozkwicie; w naszej zaś współczesnej i tak ruchliwej erze, postać dziewczyny około dwudziestki jest przez artystów i pisarzy bardziej wyzyskiwana niż kiedykolwiek bądź indziej.

„Jej nogi — to istne cudo. Jej krótkie sukienki czynią ją powabną. Wzmaga jeszcze jej urok jej patrycjuszowska wysmukłość. Wbrew ustalonemu i powszechnemu zdaniu, że nasza epoka jest czasem czynności i atletyki dziewczęcej, ja osobiście uważam, że dziewczyna współczesna jest wytworem próżnowania. Zapalone biegaczki nie miewają szczupłych kostek; entuzjastyczne tennisistki i piłkarki mają nogi zbyt muskularne; dziewczęta zaś, zatrudnione pracą fizyczną, niweczą linję i zarys swej figury.

„Panna 1928 tylko się bawi działalnością — ot, w sam raz tyle, by się utrzymać w dobrem zdrowiu i dobrym humorze. Nie jest zbytecznie zarozumiała z powodu swej młodości. Ma bystry, wyczekujący wyraz twarzy, a przebyte doświadczenie nadaje jej pewien smętny urok. Jest wdzięczna. I mężczyźni szaleją za nią.

HASKELL KOFFIN MA GŁOS

Haskell Coffin zgadza się z panem Stanlawsem, że dziewczyna atletyczna nie stanowi najbardziej ponętnego typu współczesnego. Natomiast odmiennego jest zdania co do długości sukienek, tudzież co do najponętniejszego wieku.

„Na czoło wybija się dzisiaj dziewczyna około lat dwudziestu pięciu lub trzydziestu” — powiada pan Coffin. — „Jest ona kobieca, a kiedy mówi, twarz jej się ożywia i rozświetla. Wyrosła już z podlotkowskiej metody smarowania sobie całej twarzy kosmetykami, nabyte zaś doświadczenie odbija się w jej oczach jakimś uduchowionym wyrazem.

„Albowiem panna 1928 nie jest płytka; jest to myślicielka zawsze czujna na zew wszystkiego co nowe. Wie ona doskonale, że bywa bardziej dla mężczyzny ponętną, kiedy stanowi jego przeciwieństwo. To też odrzuciła ową męskość typu, która przed paru laty stawała się coraz bardziej popularną. Wie, iż powinna w sobie skojarzyć słodycz, kobiecość, inteligencję i pewność siebie.

Dokończenie nastąpi

MIĘDZYNARODOWE BIURO PRACY

Dwie są racje, dla których imponująca rozmiarami i organizacją instytucja Międzynarodowego Biura Pracy („Bureau International du Travail“, zwane krótko B. I. T.) może nas w obecnej chwili interesować. W pierwszej połowie października gościła u siebie Polska, a ściślej mówiąc: Warszawa i Kraków, Radę Administracyjną tej organizacji, która obraduje stale w Genewie, a tylko wyjątkowo odbywa zjazdy w stolicach rozmaitych państw Europy. Wtedy Uniwersytet Jagielloński ofiarował dyrektorowi Biura p. Albertowi Thomasowi tytuł doktora „honoris causa“. Drugi moment zacieśnienia stosunków między Polską a BIT może szczególną dumą napawać nas, Polki: to sukces naszej rodaczki, posłanki Eugenji Waśniewskiej, która w bieżącym roku, jako wybrana już po raz drugi delegatka pracowników umysłowych Polski na Międzynarodową Konferencję Pracy w Genewie, uzyskała uchwałę swego doniosłego dla sprawy kobiecej wniosku: „Międzynarodowa Konferencja Pracy czuje się w obowiązku zwrócić uwagę rządów na zasadę równej płacy, bez różnicy płci, za pracę równej wartości, zasadę, uświęconą paragrafem 427 Traktatu Pokojowego.“

A więc — co to jest B. I. T.? Możnaby je nazwać drugą Ligą Narodów, społeczną, w przeciwieństwie do pierwszej, politycznej. Może nawet lepiej postawioną i skuteczniej działającą pod względem moralnym, a bezwarunkowo szczęśliwszą co do warunków zewnętrznych. Bo gdy Liga Narodów ma nieustanne kłopoty z powodu braku miejsca w swym prowizorycznie zajmowanym gmachu na wybrzeżu Wilsona w Genewie i namyśla się dopiero nad budową godnego siebie pałacu — Międzynarodowe Biuro Pracy posiada już od kilku lat własną wspaniałą rezydencję na tym samym brzegu Lemanu, przy rue de Lausanne, zbudowaną tak, jak tego wymagały jego potrzeby. Sympatyczne to i właściwe, że ci, których zadaniem jest wyłącznie zajmować się rozważaniem warunków pracy ludzi wszystkich warstw i narodów — pracują w wymarzonem otoczeniu i wprost idealnych warunkach. Pałac B. I. T., przedstawiający olbrzymi, trochę koszarowo wyglądający blok, uwieńczony z jednego boku kwadratową wieżyczką — może niejednemu nie podobać się pod względem estetycznym, ale co do położenia i rozmieszczenia stanowi dla pracującego pełne spokoju, powagi i wygody azylum.

Nie dobiega tu zgiełk międzynarodowej stolicy, jeno pluszczą łagodnie błękitne fale jeziora i szumią drzewa-olbrzymy, ujmujące białe mury pałacu w zieloną ramę parkowego ustronia. Poza temi drzewami jest tu wszystko nowe, młode, nowoczesne. Gmach liczy tyleż lat co maleńki, za opiekuńczą balustradą rosnący dąbek, przywieziony w r. 1920 przez delegację łotewską z nadbałtyckich lasów i zasadzony w ogrodzie na pamiątkę ufundowania wspólnego pałacu narodów. Każdy kraj przyniósł co miał najlepszego u siebie na te urodziny: Francja dała gobeliny, Czechosłowacja kryształowe świeczniki, Grecja dywany, Japonja ozdobne wazy, Polska meble do jednego z gabinetów, Anglja a raczej jej marynarze basen wodny na dziedzińcu.

Pięćdziesiąt pięć państw świata należy do Międzynarodowej Organizacji Pracy, a referenci Biura rekrutują się z najrozmaitszych narodowości. Sama lista nazwisk współpracowników stanowi litanję najegzotyczniej zestawionych brzmień, trudnych do wymówienia dla kolegów ich właścicieli (Francuz, Niemiec, Rumun, Belg, Irlandczyk, Japończyk, Litwin, Grek, Rosjanin, Szwed, Brazylijczyk, Nowo-Zelandczyk i t. d. — istna wieża Babel!). Radę Administracyjną B. I. T. tworzy dwunastu delegatów rządów (oczywiście nie wszystkich państw), sześciu przedstawicieli pracodawców i sześciu reprezentantów robotników. Zasiada w Radzie delegat Polski — min. Franciszek Sokal. Prezesem jest Francuz, Artur Fontaine.

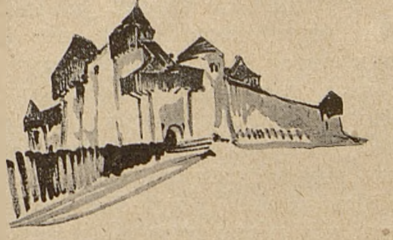
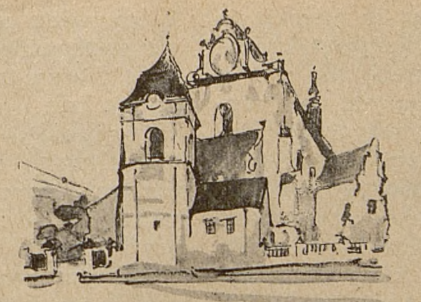
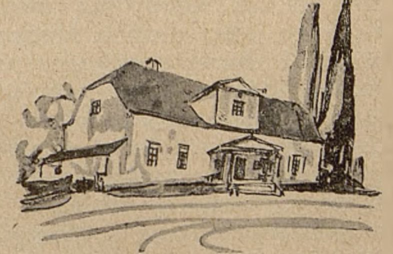
W czasie mojego pobytu w Genewie zawarłam znajomość z Polką, zajmującą jedno z bardziej odpowiedzialnych stanowisk w B. I. T. Panna Łucja Schmidtówna uzyskała posadę, jak i inni współpracownicy, w drodze konkursu i została wybrana z pomiędzy stu kandydatów-mężczyzn. O, nie myślcie nic złośliwego! O zwycięstwie rozstrzyga nie protekcja, ani sympatja sfer decydujących, ale egzamin, szereg trudnych egzaminów, składanych pisemnie, na odległość... Nie dla kaprysu taka ścisła i surowa selekcja kandydatów została pomyślana. W miłych, oddzielnych celkach referentów dokonuje się praca gorączkowa, skomplikowana, wymagająca głębokiego znawstwa nauk społecznych, ekonomji, prawa, polityki, statystyki — niesłychanej rzutkości umysłu, przytomności i zmysłu orjentacyjnego. Działalność B. I. T. rozgałęzia się w trzech kierunkach: udzielania informacyj na każde zapytanie, rzucone z którejkolwiek strony świata, w kwestjach objętych zainteresowaniami organizacji; przestrzegania realizacji zawartych konwencyj międzynarodowych, pomocy w porozumieniu się rządów i pośrednictwa w razie konfliktów; wreszcie — prowadzenia badań w zakresie naukowej organizacji pracy.

Przygotowuje się tu foljały odpowiedzi na najrozmaitsze ankiety, omawiające warunki pracy w każdym zawodzie i każdem państwie, sprawy ubezpieczeń, czasu pracy, bezrobocia, strajków, emigracji; wydaje się książki i broszury, jako owoc pracy B. I. T. Ażeby nieustannie trzymać rękę na pulsie życia i mieć jasny obraz zmieniających się wciąż stosunków w każdym kraju — czy to będzie Szwecja, czy Kanada, Japonja, czy Afryka południowa — prowadzi Biuro nieustającą korespondencję z całym światem, gromadzi dzieła fachowe we wszystkich językach, prenumeruje 2.300 dzienników i pism, a z materjału tego utworzyło już ogromną bibljotekę, która nieustannie się powiększa.

Pracuje zresztą B. I. T. w solidarności i ścisłym kontakcie z Ligą Narodów. Dyr. Albert Thomas zakończył raz swą enuncjację w prasie słowami: „Vive la Société des Nations pour que vive le Bureau International du Travail!”

Śledząc tętniące życie i biorąc udział w torowaniu mu nowych, lepszych dróg — Międzynarodowe Biuro Pracy przysposabia równocześnie cenny materjał dla nowej, ogromnej gałęzi wiedzy, która jak z pod ziemi wyrosła w ostatnich dziesiątkach lat, kiedy szybkonogi postęp zmienił całkowicie oblicze świata, a przemysł rozrósł się do gigantycznych rozmiarów: naukowej organizacji pracy. Jedyna to chyba instytucja naukowa, która nie zamyka się w laboratorjum teoretycznych obliczeń, ale badając przedmiot obserwacji przy szerokiem współpracownictwie wszystkich ziem i ludów, żyje z nim razem i ujmuje w dłonie ster działania w praktycznych wypadkach. W ten sposób dąży ludzkość wspólnemi siłami do celu, jakiego życie samo bez planowej, naukowo stworzonej organizacji rozwiązać nie potrafiło: zapewnienia pracującym prawdziwie dogodnych, sprawiedliwych warunków bytu — i osiągnięcia możliwie najwyższej i najskuteczniejszej wydajności pracy.

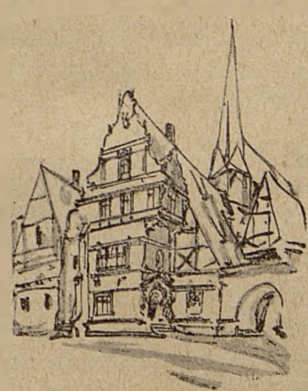
Michalina Grekowicz-Hausnerowa

STANISŁAW NOAKOWSKI

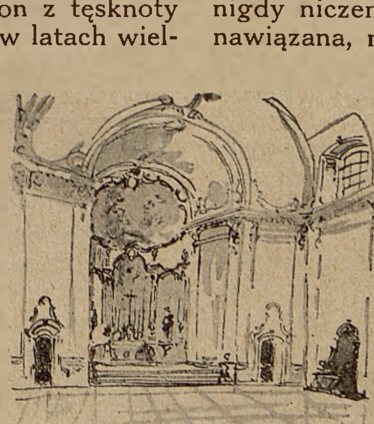
Urodzony 26. III 1867 r. w Nieszawie, zmarł 1. X 1928 r. w Warszawie. Pozgonne na marginesie wyd. S. N. Zamki i pałace polskie. Fantazje architektoniczne. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. 1928.

Takim materjałem, jakim dla poety słowo, dla malarza barwa, rzeźbiarza kamień, dla architekty jest bryła i linja. Poeta ze słów układa przedziwne poematy. Wyrywają się one jak ptaki z uwięzi rzeczywistości i lecą w bezkresy. Nic, albo bardzo słabe, wprost pajęcze nici, łączą je z rzeczywistością, ale to nic nie odbiera wartości wizjom poetyckim, przeciwnie! Podobne prawo twórcze przysługuje niezawodnie i architekcie. Wolno mu tworzyć poematy brył i linij, które nie mają żadnego praktycznego celu, które nigdy nie staną się rzeczywistością. Wszak twórcy renesansu bardzo często tworzyli w swoich szkicownikach całe epopeje form i brył architektonicznych, których złoto żadnego z władców nigdy nie przyoblekło w rzeczywistość. Były to prawdziwe sny i marzenia architektoniczne, marmurowe sny form i brył rwących się do życia. Najbujniejsze sny Raffaela, Michała Anioła lub Leonarda da Vinci, wyśnione na temat form architektonicznych, nie wyszły nigdy poza obręb marzenia i poezji. A ten fakt nie ujął im nic z ich piękna i wartości.



Co więcej! Sztuka narzuca niekiedy swą fikcję życiu. Wspomnijmy na dowód szkice portretowe królów polskich Matejki, postacie z powieści Sienkiewicza, świat dżungli Kiplinga, niezliczonych bohaterów epiki średniowiecznej lub homeryckiej. Wszystkie te fikcje wcieliły się z biegiem czasu w życie, które od tej chwili przybrało ich rysy i cechy i które na ich wzór i podobieństwo zwykliśmy od tej chwili widzieć i oceniać. Życie naśladuje sztukę, jakby powiedział Oskar Wilde.

Podobnym tworem jest świat architektonicznych zjaw Stanisława Noakowskiego. Zrodził się on z tęsknoty za Polską malowaną zbożem rozmaitem w latach wielkiej wojny, kiedy los rzucił artystę w daleką i obcą naszej kulturze i duszy Rosję. Wrogie wojska najeźdźców niszczyły u nas co się tylko zniszczyć dało, ginęły więc szacunku godne zabytki, kościoły, pałace, dwory, miasta całe i osady. Zdawało się, że zawierucha wojenna zmiecie z powierzchni ziemi wszystko, co stworzyły dawne czasy. Rósł więc żal w sercu artysty za tem czcigodnem a utęsknionem pięknem i z niego zrodziła się ta cudowna a bezprzykładna w dziejach sztuki baśń architektoniczna o Polsce dawnej, karmazynowej i królewskiej. Dola tułacza widziała Polskę we wszystkiem we śnie i marzeniu i ku niej rwały się wszystkie niewysłowione myśli i pragnienia. Z tęsknot wstawały wizje, które sprawna i posłuszna dłoń przenosiła na kartki papieru. I wstawały z nicości miasta, wsie, zamki, pałace, kościoły, dwory; otwierały się przed zdumionym widzem wnętrza kaplic gotyckich, renesansowych i barokowych; fantazja iściła świat królów i rycerzy, mnichów i mieszczan; rodziła się Polska, ta wyśniona, jaka kiedyś przed wiekami może była. Możnaby te wszystkie twory fantazyjne Noakowskiego zaludnić bohaterami tragedyj Wyspiańskiego albo Sienkiewicza, a niezawodnie dobrzeby było im w tym świecie niesamowitej legendy. Fikcja stała się rzeczywistością, i od tej chwili nie potrafimy sobie już inaczej wyobrazić naszej dawnej, bujnej, pełnej kontrastów, nagłych świateł i cieni, kultury. A dziwnie swojsko, jak dawni znajomi, czujemy się w tym świecie z bajki. Niedziw, bo przecież każdy gdzieś na dnie serca bodaj nosi w sobie coś z uwielbienia dla przeszłości. A ponadto nie potrzeba specjalnego znawstwa lub wyszkolenia w zagadnieniach artystycznych, aby w szkicach Noakowskiego odczuć prawdziwą poezję i jakby jakąś wielką symfonję form i motywów własnej, rodzimej architektury, spotykanych tak często bez zrozumienia i zapału po naszych miastach i miasteczkach. Brak ich rodzi tęsknotę, tę charakterystyczną polską tęsknotę, której nic i nigdy stłumić nie zdoła. Na tę nutę nastrojone są wszystkie twory Noakowskiego i dzięki niej stają się właśnie tak bliskie każdemu sercu i oku, które odczuwa ten przedziwny czar przeszłości, nigdy niczem niezastąpiony. Ta więź psychiczna, raz nawiązana, nigdy już się nie zrywa.



Patrząc na tę łatwość, z jaką tworzył Noakowski wszystkie swoje rysunki, trudno sobie było odrazu uświadomić jak wielkiej sprawności i pewności wymagały te tak bardzo uproszczone prace. Cały rysunek zdaje się być bardzo prosty a jednak jest on przejawem niezwykłej erudycji i niezwykłego talentu. Połączenie bowiem tych kilku motywów architektonicznych to nie jest wynik działania łaskawego przypadku, ale wynik nadzwyczajnego opanowania i zrozumienia formy w ich przejawach najbardziej istotnych i charakterystycznych. Ponadto motywy do swoich kom-

pozycyj artysta upraszczał, sprowadzając je niejako do najbardziej zasadniczych i istotnych. Dlatego tak często z jakiejś ozdoby nie pozostaje niekiedy nic więcej jak tylko jakaś drobna kreska lub linja, ale tak wymowna i charakterystyczna, że każdy bez trudu dostrzeże tkwiący w niej motyw zdobniczy. Dzięki tym uproszczeniom z jednakową siłą narzuca artysta widzowi swe wizje form wszystkich epok i stylów, od romańskiej począwszy, a na stylu cesarstwa skończywszy. Wszędzie ta sama pewność linij, harmonja brył, to samo życie i olbrzymie bogactwo wyobraźni twórczej, w której załamują się tylko najistotniejsze cechy danego stylu. Stąd w żadnym z rysunków niema przeciążenia szczegółami drugorzędnemi i nieistotnemi.

Wszystkie te właściwości nadają pracom Noakowskiego tyle niespotykanego nigdy i nigdzie czaru i wdzięku, że urokowi ich ujść niepodobna. Ulega mu każdy widz porówni, niezależnie od swego upodobania estetycznego i zawołań chwili, bez względu na swój bierny czy czynny stosunek do sztuki. Jak każda poezja tak i poezja form architektonicznych nie jest odtworzeniem żadnej istniejącej w przeszłości czy teraźniejszości rzeczywistości, nie kopjuje żadnego ze znanych pomników, jeno z najogólniejszych cech poszczególnych stylów budzi do życia nowe całości, pełne narzucającej się każdemu siły sugestywnej.

Ale cóż nas to obchodzić może? Czyż nie wystarcza, że ten świat wyczarowany przez artystę jest piękny, przepiękny, że zaspokaja tęsknoty i duszę przenosi w zaświaty, bogacąc ją o nowe i niecodzienne przeżycia? Tak, ale to tylko wzmaga dzisiaj ból i żal, że ten niezwykły artysta odszedł już na zawsze... Jak przyszedł bez poprzedników, tak i odszedł bez następców.

Stanisław Machniewicz

WIECZÓR U WANDY MELCER-RUTKOWSKIEJ

Wśród gwaru rozmów gości zebranych na „poniedziałku" u pp. Melcerów, zagadnęłam przemiłą gospodynię, p. Wandę Melcer-Rutkowską.

— Chciałabym zagarnąć Panią dla siebie na dłużej. Na rozmówkę. Mam w tem pewien „interes".

— Ależ chętnie. A jaki?

— Zużytkuję rozmowę naszą w „Świecie Kobiecym".

— Pisałam tam kiedyś. Bardzo sympatyczne pismo. Słucham panią.

A zatem — prawie wywiad. Zbieram prędko myśli: nie można przecież za długo zatrzymywać przy sobie gospodyni. Zaczynam więc odrazu „wielkiem pytaniem":

— Czy pracuje Pani teraz nad czemś?

— Piszę powieść. Mam wrażenie, że temat jej będzie u nas dość nowy, gdyż, jak mi wiadomo, poruszała go dotychczas w sposób wyczerpujący tylko Zapolska w swej „Kaśce Karjatydzie". Treść mojej pracy obraca się w środowisku służących.

— Bardzo ciekawy temat.

— Myślałam o nim już dawno. Interesują mnie problematy, obchodzące kobiety tej sfery, ich punkt widzenia na wiele rzeczy, jak się to mówi, ogólnych, a więc np. kwestyj etycznych czy choćby towarzyskich. Pozatem w powieści zahaczę także o domy poprawy dla nieletnich.

— Mówi Pani: „myślałam o tym temacie już dawno". Czy zwykle obmyśla Pani tematy swych powieści szczegółowo zanim je utrwali, czy też rozwinięcie tematu nasuwa się Pani już przy pisaniu?

— Pracuję bardzo systematycznie. Pomysł „noszę" często po parę lat, obmyślam go dokładnie. Przed zabraniem się do pisania układam plan akcji w mojej powieści i naogół mało od tego planu odstępuję.

Poważnie wywiadową tę rozmowę przerywają tony charlestona oraz krzyk papugi zieloniutkiej, przywiezionej przez p. Melcer-Rutkowską z podróży do Brazylji.

— Zawsze pomaga przy muzyce i śpiewie — śmieje się pani Wanda. — Ogromnie ją lubię, wogóle zresztą przepadam za zwierzętami.

— Wiem... z „Miasta zwierząt".*

Oderwana przez nowo przybyłych gości pani Wanda odchodzi. Po chwili rozmawiamy znowu ale już mniej urzędowo na ulubiony dla nas obu temat — podróży.

— Marzę teraz o Stanach Zjednoczonych — mówi młoda literatka. — Chciałabym także poznać choć „kawałeczek" Afryki...

Tutaj przypomina mi się pytanie, które nurtowało mnie już dość dawno, bo od czasu przeczytania „Narzeczonej z Angory", ostatniej powieści p. Melcer-Rutkowskiej.

— Skąd posiada Pani tyle wiadomości czysto-handlowych i skąd orjentuje się tak świetnie w labiryncie operacyj businessu? Pani „Narzeczona" — to przecież bardzo oryginalny i rzadki w życiu typ kobiety, obrotnej selfmade-women.

— „Narzeczoną" napisałam trzy lata temu, po powrocie z Turcji. Obdarzyłam ją zapasem wiadomości, które same posiadam, a które zdobyłam bardzo poprostu. W Konstantynopolu byłam szereg miesięcy urzędniczką zorganizowanej tam wówczas wystawy polskiej, a potem pracowałam w Angorze jako urzędniczka turecka. Było to dosyć komiczne...

Znajduję że raczej — wyjątkowe i wyrażam sobie w duchu podziw dla prawdziwej nowoczesności naszej autorki. Tą nowoczesnością tchnie zresztą cała jej postać: wygładzona, krótko ścięta czuprynka, krótka, bardzo modna suknia — i wyjątkowo miły, pełen ujmującej prostoty sposób bycia.

Na zaproszenie do tańca któregoś z gości, pani Wanda ociąga się zlekka.

— Taka jestem zmęczona. Forsownie dziś ćwiczyłyśmy w klubie. Wie pani, że jestem prezeską „Grażyny"?

— Nie wiem, jestem zdumiona. Niedawno jeszcze pisałam do „Świata Kobiecego" o tym kobiecym klubie sportowym, którego prezeską była wówczas panna Muszałówna.

— Tak, tak. „Prezesuję". Ćwiczę lekkoatletykę. Nie wyobrażam sobie życia bez sportów.

Mam jeszcze dużo pytań w zapasie, ale oto wzywa ktoś moją rozmówczynię z grupy gości, w której króluje piękna pani Korolewicz-Waydowa.

— Nie będę już Pani dręczyła dłużej tym wywiadem.

Za chwilę wychodzę z pamiętającego XVI stulecie gmachu Konserwatorjum, gdzie mieszka p. Melcer-Rutkowska. Noc jest chłodna, niebo rozgwiaździone. Mam trochę wyrzutów sumienia, iż w tak interesowny sposób wykorzystałam zaproszenie na miły wieczór. Ale rozgrzeszam się myślą: przecież to dla dobra tylu czytelniczek, które na pewno chcą wiedzieć, czy ich wyobrażenia o autorce znanych powieści odpowiadają rzeczywistości.

Irena Jabłowska

* Jest to powieść, za którą przyznano Autorce pierwszą nagrodę na konkursie im. Gabrjeli Zapolskiej, urządzonym w r. 1923 przez firmę „Lektor". Sąd konkursowy stanowili tacy wybitni i wnikliwi krytycy jak K. Irzykowski, J. Jedlicz i Z. Kisielewski. — *Przyp. red.*

CYGANERJA BERLIŃSKA

Berlin, w październiku 1928

Czem „Michalikowa jama” dla Krakowa, a „Rotonde” dla Paryża, tem była przez długie lata dla Berlina jedna z kawiarni *Kurfürstendammu*, która przeszedłszy przez ręce różnych właścicieli i zmieniwszy kilkakrotnie nazwę, przed kilkunastu dniami zamknęła swe podwoje. Wśród eleganckich światowych lokali tej części miasta było to przedsiębiorstwo — ongiś siedziba bohemy — ostatnio już tylko punktem zbornym dziewcząt ulicznych i szumowin miejskich. Niemniej jednak wiodło szumną nazwę *„Café des Westens”*. Wspaniałe ściany — odrapane i brudne, powykrzywiane i obdarte fotele, trzeszcząca posadzka, zaplamione lustra, cuchnąca kawa, rozdzierająca uszy muzyka i bezwstydnie wysokie ceny stanowiły zresztą godne widzenia *unicum*.

Jeszcze przed kilku laty gnieździły się w parterowych salach ostatnie niedobitki berlińskiej cyganerji. Ówczesna nazwa tego przybytku, *„Café Grössenwahn”*, w niefrasobliwy sposób persyflowała manję wielkości swych gości — a i swoją własną. Na pierwszem piętrze gnieździł się jeden z najlepszych, prawdziwie literackich kabaretów Berlina. Ale okres jego wspaniałości leżał jeszcze o kilkanaście lat wstecz, kiedy to tętniący obecnie pędem tysiąca aut *Kurfürstendamm* był jeszcze cichą, ustronną, niemal podmiejską ulicą.

Stopniowo powstawały dokoła tej artystycznej knajpy wytworne bary, cukiernie i dancingi, urastały nowe domy, a w domach tych otwierali pierwszorzędni mistrze swego fachu zakłady fryzjerskie. I stopniowo tracili goście *Grössenwahnu* swe długie włosy na fotelach fryzjerskich, a równocześnie znikali z zacisznych i wygodnych jeszcze wówczas foteli swego „Stammlokalu”. Berlin zaczął się wówczas amerykanizować w tempie niezrównanie szybszem od wszystkich miast europejskich, a artyści, mistrze piór, pendzli, dłut i kijów bilardowych, pociągnąwszy równiutki rozdziałek od czoła do karku, zrzucili szerokie kapelusze, aksamitne kurtki i zdefasonowane szarawary i przystosowując się do wykwintnego wyglądu miasta, w drodze do zupełnego zamerykanizowania — zeuropeizowali się w nienaganny sposób.

W miejsce dawnej siedziby synów Apollina powstaje obecnie luksusowa cukiernia, której bywalcy taksować się będą nawzajem nie wedle liczby nakładów swych — często niewydanych wogóle — poezyj, lecz wedle ilości HPesów swych wytwornych limuzyn.

Dotychczasowa cyganerja przeniosła się — zresztą jeszcze przed kilku laty — o kilka domów bliżej miasta i osiadła w przestronnej, jasnej, czystej kawiarni *„Romanisches Café”*, która zyskała sobie w krótkim czasie sławę jedynej artystycznej knajpy Berlina. Ale zamknięcie dawnego, symbolicznego *Grössenwahnu* jest definitywnem, niejako oficjalnem zakończeniem minionej epoki artystycznej.

Nie lubię *Romanisches Café*. Obszerne sale są mimo świetnej wentylacji zawsze pełne dymu, a na kanapkach i po kątach leżą porozrzucani, jak szmaciane pajacyki i lalki, stali goście. Uderzająca jest w tem środowisku staranność jaką przykładają wszyscy do swego zewnętrznego wyglądu. Ale ta dbałość o formę sięga głębiej. Był taki czas w całej Europie, kiedy każdy szanujący się artysta z gorzką melancholją lub sarkastycznym demonizmem mówił o swych genjalnych dziełach, nieznanych lub nieuznanych przez świat; kiedy jego „jaźń” toczyła wieczne boje z owym wrogim światem o prawo bytu, o prawo krzyku zdławionej duszy i jak tam się to jeszcze nazywało. Jeśli ktoś posiadał poza swem powołaniem poety, muzyka czy malarza, prywatny rentowny zawód — krył się z tem wstydliwie, uważając, że przyziemną pracą zarobiony grosz przynosi ujmę jego genjuszowi. Był taki czas kiedy malarze z pogardą i obrazą odrzucali propozycje skomponowania reklamowego afisza, kiedy długowłosi poeci z nieopisaną wyższością spoglądali na ludzi kalających swe nazwisko współpracownictwem w dziennikach. Jeśli zaś ktoś dla poziomych celów sprzedał twór swego talentu, pogrążał się w czarnej rozpaczy i biadał nad „prostytucją swego ducha”. Nie był wogóle artystą taki, który swe żywotne soki czerpał z zarobionego rosołu, miast z kredytowanej lub zafundowanej czarnej kawy.

Jakby się zdumiał poczciwy sienkiewiczowski Świątecki, gdyby pogadał z dzisiejszą bracią artystyczną! Zupełna przemiana! Każdy z nich mieni się z udaną skromnością rzemieślnikiem swego fachu; liryczny poeta kryje się pod maską żurnalisty; rewolucyjny malarz z dumą opowiada o marce ochronnej, którą stworzył dla fabrykanta patentowych szelek; znany muzyk szczyci się, że powierzono mu skomponowanie ilustracji do najnowszego filmu Harry Peela. Snobizm poszedł w odwrotnym kierunku: kto nie czerpie dochodów z uprzemysłowienia swego talentu, kryje bezcelowość swego bytu, udając dobrze uposażonego, pożytecznego członka społeczeństwa.

Następczynie dawnych eterycznych, enigmatycznych Muz, pracują jako manekiny w salonach mód, jako modniarki lub pianistki kinowe, uprawiają najmodniejsze sporty — *hockey* lub *polo* — i znalazły dla swej zewnętrznej aparycji niezawsze szczęśliwe, lecz wyzywające połączenie sportowej *girl* i intelektualnego demona dla niezamożnych: suknie jeszcze o parę cali krótsze od obowiązującej mody, włosy przycięte prawie „na jeżyka”, a twarz przypudrowana na interesującą bladość. Dziwne zestawienie wygimnastykowanych ciał, sportowych gestów i tych atropinowanych, wyzywająco „perwersyjnych” oczu!

Pozatem panuje u kobiet hasło Lesbosu i niejedna posiadająca w skrytości kochanka, oficjalnie „żyje z przyjaciółką” o podobnych erotycznych poglądach. Żadna z bywalczyń *„Romanisches Café”* nie przyzna się do seksualnej normalności. Ideałem takiej postępowej muzy byłoby dostać dziecko od przyjaciółki. Ponoś się to jednak jeszcze dotąd nie zdarzyło.

Nie znam obecnej cyganerji paryskiej. Przypuszczam, że Murger nie poznałby jej. Nie wiem o ile różni się ona od berlińskiej. Sądzę jednak, że przemianę, jaka zaszła w dawnych gościach *Grössenwahnu*, spowodowała w znacznej części amerykanizacja Berlina: hasło celowości i rzeczowości w życiu, sztuce i miłości. Że się fakty nie we wszystkiem z hasłami pokrywają — to stanowi jedyną niezmienną cechę bohemy wszystkich czasów.

Józef Mayen

KONIEC DŻEKA HARWOODA

ULICZKA, na której jubiler Aage Swörking miał swój sklep, była właściwie wąskim i półciemnym przesmykiem pomiędzy Starym Rynkiem a Pasażem Kołodziejów, gdzie domy były zgrzybiałe i głuche, i gdzie żaden mieszkaniec nie miał najmniejszych kwalifikacji na klienta magazynu drogocenności. Poprawdzie, to i cały majątek jubilera, wyłożony w witrynie dawno niemytego okienka, sprawiał wrażenie raczej żałosne i jeżeli oczy przypadkowego przechodnia, z niewiadomych powodów szukając czegoś w górze, natrafiały na szyld Aage Swörkinga — to niezawodnie odmalowywało się w nich zdziwienie. Czasami zdziwienie to zabarwiało się odrobiną ciekawości, a raz jeden na tle obu tych uczuć wykwitł nagle uśmiech prawdziwego, szczerego zachwytu. Stało się to z dwóch powodów, a istotą, którą kolejno wstrząsnęły zdziwienie, ciekawość i zachwyt, była młoda dziewczyna o urodzie bardzo wielkiej i tak niezwykłej, że oddać ją wiernie mógł pendzel jedynie. Co zaś do powodów — było ich dwa, jak się rzekło: jeden to sam szyld. Obok zatartego i ściemniałego napisu płowiał i pleśniał na nim spory wizerunek pięknie uśmiechniętej damy, która — dla dokładnego uzmysłowienia kwoli jakiej potrzebie sklep jubilera egzystuje — nakładała upierścienionemi dłońmi sznur pereł na obciążoną już wielkim medaljonem szyję, pochylając przytem główkę ze spiętrzoną rokokową fryzurą, pełną klejnotów i grzebieni. Jakkolwiek rysunek był stary i niekoniecznie tą starością, która nadaje przedmiotom wdzięk i wartość — jednak w uśmiechu jubilerskiej damy było coś, co przykuwało uwagę i niepokoiło przez chwilę. Oczywiście, jeżeli ktoś wogóle raczył popatrzeć na nią ku górze.

Co się tyczy drugiego przedmiotu zainteresowania dziewczyny — były nim kolczyki. Zwykłe kolczyki z ciemnoszmaragdowej masy, w formie potrójnej obręczy na złotym haczyku, nad któremi na zakurzonej karteczce widniał niezgrabny napis „weneckie". — Dziewczyna przyglądała im się przez długą chwilę i w oczach jej chwiał się ciągle płomyczek żarliwego zachwytu. Coprawda nie były one wcale warte tego — ubogie kolczyki w zasnutej brudem i kopciem wystawie sklepu, w których prawdopodobnie nigdy nie paliły się słoneczne iskry, ze względu na to, że uliczka na której jubiler Aage Swörking miał swój sklep była ciemną i ponurą, i ponieważ stare, mokre i zgrzybiałe domy stały tam ciasnym rzędem na straży i nie dopuszczały promieni słońca ani do witryny, ani do uśmiechniętej malowanej damy na szyldzie.

Zaczem dziewczyna odeszła od okna i wolnym krokiem iść zaczęła w kierunku Starego Rynku. Chodnik w tem miejscu był nijaki — zżarty błotem, wydeptany wielokrotnie mozolnemi krokami ciężkich, robotniczych buciarów, dziurawy i wyboisty. Na tym właśnie chodniku najlepiej widać było całą precyzję, cały genjalny, samorzutny, z samych głębin natury płynący wdzięk, urodziwą śpiewność i harmonję ruchów tej dziewczyny.

Nie żeby była tak bez zarzutu piękna i proporcjonalna aż do doskonałości — nie! Jedynie krzyczało coś, jak uwięziona fontanna, rwało się i promieniowało z niej — coś czarującego, co było jak muzyka i jak zapach — aż do zawrotu głowy. Więc kiedy stanęła u wylotu owej zaprzepaszczonej uliczki — tyłem do sklepu pana Aage, zaś cała na tle nieco szerszej rynkowej przestrzeni — wyglądała jak jakiś fantastyczny motyw malarski.

Rzecz prosta, nie zdawała sobie sprawy z owych walorów. Wiedziała o sobie, że jest ładna i że się podoba chłopcom i że dzięki tej urodzie może od czasu do czasu iść z nimi na piwo do szynkowni „Pod Asem Pikowym", co zresztą nawet dla niej stanowiło dość nędzną rozrywkę. Nie było mowy o żadnych „tęsknotach" za czemś innem — poprostu czasami chciało jej się tego lub owego i prawie zawsze bezskutecznie. Przeważnie bowiem zaledwie nie głodowała, gdyż jedyny człowiek, jakiego miała na świecie — ojciec — był przedewszystkiem nałogowym pijakiem, powtóre zaś podle płatnym woźnym sądowym i przepijał każdy grosz — nawet ten, który czasem podarował córce przygodny jakiś znajomy.

Tak więc tego dnia spodobały jej się kolczyki z wystawy Aage Swörkinga i postanowiła je sobie zdobyć — nieodwołalnie.

Dżek Harwood miał zwyczaj przeglądania gazet przy śniadaniu, które zjadał codzień nieodmiennie o godzinie ósmej rano — przyczem wybierał podświadomie tylko to, co nie mogło zbytnio wzruszyć jego spokoju, bowiem Dżek natychmiast po śniadaniu udawał się do biura. Miał 32 lata i był prokurentem wielkiego Westbanku, wypełniającego olbrzymi ponury budynek przy Old City — w Dzielnicy Parków. Naogół Dżek do banku jeździł własnym małym motocyklem — od kilku dni jednak coś naprawiano w motorze i konieczność korzystania z wehikułów publicznych jątrzyła go nie na żarty. Temu lekkiemu zdenerwowaniu należy przypisać przejęcie się Dżeka lekturą gazet w dniu 15 września 1925 roku. Oczy jego zatrzymały się na kilku linijkach, wieszczących zgon „bardzo utalentowanej" pisarki, zgon „tragiczny" i — jak podejrzewał reporter — samobójczy. Nie było to nic dziwnego: dwudziestoparoletnia miss Axell uchodziła w gronie najbliższych przyjaciół za istotę obdarzoną dużym talentem, ale fantazją nieokiełzaną i charakterem tak dalece nieopanowanym, że żadne szaleństwo nie było dla niej sprawą niewykonalną. Jej nagła śmierć była naturalnym zakończeniem bezpożytecznego życia, któremu znikomą zresztą wartość nadało jedynie kilka utworów, zdradzających coprawda niewypowiedziany urok tej mocnej i fantastycznej natury. Dżek Harwood znał ją osobiście i nie lubił o niej myśleć. Całą jego spokojną, solidną i regularną istotą wstrząsała niechęć prawie fizyczna w stosunku do tego cudzoziemskiego imienia (Micaela! matka miss Axell była z pochodzenia Hiszpanką i żywiła pewien sentyment dla śpiewnych imion kobiecych swej dalekiej ojczyzny) — i do samej jego właścicielki. Nie miał pojęcia jak się to stało, że zbliżył się do niej — poto zresztą, by uciec jak najszybciej, zalany nową falą odrazy. Od owego głupiego tygodnia (albowiem trwało to niecały tydzień) upłynęło już kilka miesięcy i Dżek w wieczystym wirze własnych zainteresowań zapomniał o istnieniu kapryśnej i nieobliczalnej „literatki". Jednakże w tej chwili wiadomość przeczytana w formie suchej notatki zabolała go — zabolała tak krótko i dotkliwie jak świszczące uderzenie pejczem.

Podniósł oczy i spojrzał w okno. Willa Harwoodów — maleńki domek, zgrabnie wciśnięty w minjaturowy ogródek — nie miała jeszcze żadnego vis-à-vis, leżała bowiem w nowopowstałej Dzielnicy Will. (Oh — ta przeklęta odległość od Banku!) Dżek nerwowo skończył śniadanie i skierował się ku wyjściu. Machinalnie ściszył krok, przechodząc przez korytarz, wiodący do sypialni Lady Harwood. Zawahał się przez sekundę, bowiem przypomniał sobie, że właściwie mała Micaela lubiła jego matkę — osobę pełną godności i dostojeństwa, które to dwie cechy gubiły się stale w nadmiernej rozmowności, tudzież w niebywałej poprostu dobroci starej Lady. Przez jedno mgnienie miał zamiar

zapukać i wejść do matki — powiedzieć jej, spytać, być może usłyszeć poprostu — tak, jedynie usłyszeć tę wiadomość powiedzianą głośno, jakgdyby to właśnie mogło ostatecznie upewnić go o tem co się stało. Ale trwało to zaledwie sekundę — Dżek Harwood wzruszył ramionami i mruknąwszy półgłosem „Warjatka" — wyszedł.

Na ulicy świeciło słońce — łagodne, jesienne słońce, pełne uśmiechów i serdeczności. Dżek szedł zwykłym swoim, równym spokojnym krokiem. Sylwetka jego czysto i wyraźnie rysowała się na tle cichej ulicy. Zaledwie kilka kroków dzieliło go od małego placyku, gdzie stały dwie budki — daszki właściwie, kryjące schody do podziemnej kolejki. Dżek położył dłoń na poręczy schodów i — zupełnie niechcący obejrzał się poza siebie.

Wtedy — zaczęło się.

Niby nieznacznie. Na placyku był skwer. Rosło kilka drzew. Dżek spojrzał na nie — i piorunem olśniło go wspomnienie. Nie zdając sobie sprawy, nieświadomie, półgłosem, Dżek powiedział wolno:

„Drzewa stoją we słońcu ciepłem uroczyście
niewiadomo dlaczego potraciły liście..."

Tak. Był to wiersz. Co więcej — wiersz, którego Dżek sobie nie przypominał, być może wcale go nie znał. Ale był to wiersz — i Dżek wiedział to zupełnie na pewno — napisany przez Micaelę Axell.

W banku na biurku Dżeka leżał, jak zwykle, stos listów. Było bardzo wcześnie. Dżek usiadł i zapalił papierosa. Coprawda nie robił tego nigdy przed godziną dwunastą (systematyczność przedewszystkiem), ale dnia tego papieros, umieszczony w wąskiej długiej fajeczce z kości słoniowej, ozdobionej nikłym ornamentem z kolorowej emalji (podróż po kontynencie), był poprostu nieodzowny. Dżek palił i przeglądał korespondencję. Pomiędzy listami ze wszystkich krańców świata, urzędowemi sprawozdaniami, kolumnami cyfr i wąskiemi paskami telegramów — były trzy prywatne. Jakieś zaproszenie na jesienną Garden Party (mignęła mu w pamięci złotoloka główka „słodkiej" Alice Markwell, córki króla sacharynowego, bawiącej na wywczasach w Anglji); karta od przyjaciela, będącego z młodą żoną na polowaniu w Kanadzie: „Cóż, stary druhu, jeszcześ nie znalazł swego ideału z nieodzownemi 240 tysiącami funtów?" Trzeci — list od małej samobójczyni. Oczywiście — reporter miał rację. Pisała: „Dżek, odchodzę sobie zupełnie. Pamięta Pan — mówiłam o tem, kiedyśmy się widzieli po raz ostatni, u mnie w pokoju. Martwiło mnie to, że jestem tak niedoświadczona i że śmiał się Pan ze mnie. Martwiło mnie także trochę, że tak zupełnie nie znał Pan powodów mojego postępowania z Panem, Dżek. Wobec tego wyjaśniam je teraz: kocham Pana bardzo. Nie mogłam o tem mówić za życia. Wiem, że Pan kocha jedynie pieniądze. Życzę Panu dużo szczęścia. M. A." — To wszystko.

Dżek Harwood odłożył na bok przeczytane listy i zabrał się do pracy. Godziny płynęły równo, śpiesznie. Twarze ludzkie coraz nowe i inne przesuwały się przed oczyma Dżeka. Pracował dokładnie, sprawnie — i wesoło. Ani przez jedną sekundę nie pomyślał o Micaeli. Coprawda raz złapał się na głupim przypadku: nachylony nad sekretarką stenografującą śpiesznie jakiś list, nucił bezgłośnie, w myślach, na melodję smutnej jakiejś piosenki, słowa: „...niewiadomo czy lato jest jeszcze — czy jesień? Czy już jest pora żalu — czy jeszcze uniesień?..." Ale spostrzegłszy to — roześmiał się. Przykre było, że w śmiechu czuć było oprócz ironji ledwo uchwytny niepokój.

Normalnie Dżek wychodził na obiad o godzinie trzeciej i jechał do domu. Była to miła godzina wytchnienia i pewnej, jakgdyby orzeźwiającej kąpieli duchowej. Dżek pławił się w atmosferze bezkrytycznego zachwytu i uwielbienia matki, dla której był osią istnienia, jedynem bezpamiętnem ukochaniem, dumą i radością samotnych lat. Lady Harwood zestarzała się znacznie po śmierci męża, jednak jej piękne młode ręce i cudowny macierzyński uśmiech czyniły z niej pełną uroku kobietę, która w zacisznem i wytwornem mieszkaniu była niby wyjęta z portretu, lub może z ilustracji do jakiejś bajki „Dobra Mateczka". Dnia tego Dżek miał dziwne wrażenie: w banku, w mieszkaniu — słowem „w czterech ścianach" był sobą — zwykłym, normalnym urzędnikiem o bogatej w awanse przyszłości, chłopcem o sylwetce godnej swej reputacji świetnego tancerza i sportsmena, opanowanym, rozsądnym Dżekiem, który wie czego chce i dokąd dąży. Zaledwie jednak przestępował próg ulicy — powietrze i słońce brały go w swe posiadanie i w mózgu zaczynało coś musować — niby lekkie mocne wino, a oczom uwydatniały się szczegóły, na które normalnie Dżek nie zwróciłby najlżejszej uwagi. I oto Dżek zamiast iść prosto w kierunku małej stacyjki „metro" — zahaczył wzrokiem najpierw o koła jakiegoś pojazdu, których szprychy świeżo lakierowane migotały w świetle, a następnie, wznosząc powieki ku górze, spojrzał na siedzącego w powozie mężczyznę. Być może, że widok był godzien uwagi, ale nikt, zupełnie nikt z przechodniów, stanowiących codzienny wartki tłum na szerokiej Park-Street przy West-Banku, nie spojrzał nawet na przejeżdżającego. Ostatecznie stary koń, stary powóz, wyświechtana liberja woźnicy świadczące dobitnie jak dalece tego rodzaju komunikacja wyparta została nawet w dzielnicach przytykających do Starego Miasta — mogłyby zająć jedynie malarza rodzajowego. Dżek nie miał z tem nic wspólnego i niewiadomo co zainteresowało go w wyrazie znużonej starczej głowy jadącego pana. Faktem jest, że Dżek zamiast jechać na obiad — przyśpieszył kroku i zaczął iść, a potem biec za powozem, starając się za wszelką cenę nie stracić go z oczu. Wszystko to razem było niezwykłe i zadziwiające. Serce przytem biło mu mocno i kiedy przystanął na chwilę, by odetchnąć — zauważył ze zdumieniem, że znajdował się na małej, wąskiej uliczce, stanowiącej jakgdyby przesmyk pomiędzy Starym Rynkiem a Pasażem Kołodziejów. O kilka kroków od niego ślepą, senną szybą patrzał na bladozłoty dzień sklep pana Aage Swörkinga. Zaś tuż przed nim otwierały się napoły gościnnie — napoły zaś nieufnie drzwi małej, nędznej traktjerni i ukazywały zakurzone wnętrze, gdzie brudna i wyniszczona barmaid drzemała na drewnianym stołku. Dżek Harwood wszedł bez namysłu, gwałtownie dopadł do stolika i usiadł. Odetchnął głęboko. Był zmęczony i oszołomiony, jak po uderzeniu. W głowie czuł zupełną pustkę i nie chciało mu się myśleć. Patrzał tępym wzrokiem na swoje dłonie, oparte o krawędź stołu. Kiedy dziewczyna postawiła przed nim kufel piwa i jakiś talerz dymiącego jedzenia — uśmiechnął się. Spojrzała zdumiona i zgorszona, z jawną niechęcią, na jego bez zarzutu skrojone ubranie i śmieszny dla niej monokl.

Dżek Harwood miał 32 lata, był szczupły i mocny. Wbrew opinji Lady Harwood był raczej brzydki — zarys głowy miał przeciętny i uparty, przytem był łysy, naskutek fanatycznego przywiązania matki do jego wspaniałych złotych loków w dzieciństwie. Ubierała go niby dziewczynkę i kazała mu nosić długie loki do dziewięciu lat. „Tak to pięknie wygląda na aksamicie ubrania!" zachwycała się przesadnie „a potem mu wszystkie wypadły..." dodawała melancholijnie, patrząc z żałosną czułością na głowę syna. Niektórzy uśmiechali się drwiąco, słuchając tych wyjaśnień. Dżek zatem był łysy, co jednak nie zmieniało faktu, że kochało go

wiele kobiet i między niemi niejedna, warta stanowczo lepszego losu. Zdaje się, że powodem tego były oczy Dżeka — oczy naprawdę śliczne, ciemne, głębokie i mądre — mądre same za siebie i dla siebie. Także uśmiech, pogodny, pełen słodyczy uśmiech, nie mający nic wspólnego z naturą Dżeka — brutalną, arogancką i samolubną. Te dwa szczegóły były jedynie dziedzictwem przekazanem Dżekowi powierzchownie, fizycznie, i nie odbijały się zupełnie na jego naturze.

Ale jak się rzekło, dnia tego uległ Dżek jakimś mocom tajemnym i niewytłumaczalnym. I dlatego teraz, gdy siedział w ubogiej restauracyjce na uliczce Przesmyk — uśmiech jego był po raz pierwszy w życiu niespokojny, świetlisty i jego własny, własny tak jak bicie ciągle jeszcze zmęczonego serca. Albowiem Dżek był zmęczony, mimo że siedział tu już spory kęs czasu, i że nie zdawało mu się by przebył duży kawał drogi. Jakkolwiek rzecz się miała — Dżek siedział nieruchomo i nie miał zamiaru wstać i wyjść na światło dzienne. Nietylko to — Dżek przymknął oczy i oparł się o twardą poręcz. Było mu niewypowiedzianie dobrze. Nie spał. Słyszał wyraźnie stąpania i kroki w sąsiedniej izbie. Widział dokładnie przez zmrużone rzęsy odbicie słonecznego promienia na brudnej podłodze. W jakiejś chwili gdzieś zaczął bić zegar i Dżek nie licząc wcale uderzeń poczuł ostry żal za tą godziną, która ubiegła. Napróżno starał się zapomnieć! Był wplątany w groźną, nieubłaganą sieć. Pamięć — dokładna, wyrazista pamięć wzięła go w swoje szpony. Siedział oto, nie w brudnej traktjerni, lecz na małym balkonie, zawieszonym nad krągłym ogrodem. W górze świeciły gwiazdy i róg księżyca — jak blady rogalik. Słyszał śmiech Micaeli — świeży, szczery śmiech i widział jak jej małe, mocne ręce trą energicznie zapałkę o szorstką powierzchnię pudełka. Paliła namiętnie, bezprzestannie, jednego papierosa za drugim, nie odrywając ich od warg nawet wtedy, gdy ją całował. Z początku bawiło go to — potem zaczęło złościć. Usiłował ją wzruszyć, podniecić, rozpętać tak, by rzuciła to przeklęte palenie bodaj na jedną chwilę. Ale nuciła mu w usta jakąś piosenkę bez słów — wówczas w złości, zajadle i nienawistnie, wziął ją — poto tylko, aby zmusić do zaprzestania. Gorycz zalała go nagle. Przytulona do niego, wgarnięta w jego objęcia, paliła spokojnie, jakgdyby nieobecna wobec wszystkiego co się działo. Stracił panowanie nad sobą. Gryzł jej ręce i usta. Kiedy się ocknął — spoirzała na niego uważnie i życzliwie. Załamał ręce: „Pani jest szalona! Szalona!" wyszeptał. Nie rozumiał — poco, dlaczego to zrobiła. Znali się zaledwie kilka tygodni — dorywczo, nieumyślnie spotykali się w tłumie i mijali zupełnie obojętnie. Nie lubił jej. Raziło go w niej wszystko — nadmierna bujność, zuchowata żywość ruchów, cała bezpośredniość młodości, absolutne nieliczenie się z utartemi wygodnemi kanonami życia, niefrasobliwe traktowanie najpoważniejszych zagadnień i nadewszystko pewna poza — sztuczność, czy literackość — coś, co jak wyznał sam w jakiejś niepotrzebnie Micaeli poświęconej chwili rozmyślań — było w n i e j właśnie naturalnem — a wogóle czemś rażąco nierealnem. I oto niewiadomo dlaczego — głównie właśnie d l a c z e g o — stała się jego kochanką. Czuł gorycz i niesmak — pojmował całą groteskowość i bezsens tej sytuacji. Pozatem skrzętnie zatajał i nie dopuszczał do świadomości pomyślenia, że był dla niej niczem. Niczem absolutnie. Kaprysem — nawet nie tyle. Odszedł z małego balkonu z mocnem postanowieniem niewracania tam więcej. Pożegnała go przyjaznym, koleżeńskim uściskiem dłoni nie przestając się śmiać — i nie myślał o niej więcej.

Wrócił jednakże. I odrazu wtedy zdumienie uderzyło go, niby obuchem. Wrócił pewien, że ma do czynienia z dużą dozą cynizmu i wyrafinowania. Znalazł niespodzianie Micaelę oporną i zawstydzoną. Owiał go nieodparty urok jakiejś nieznanej dziewczęcości, śliczny sentyment i subtelna poezja z nieprawdziwego zdarzenia. Pokój był pełen gorącego zapachu brzoskwiń. Poddał się fali uczucia. Dekoracja i uśmiechy zagarnęły go niepodzielnie. W pewnej chwili omal nie powiedział głośno jakichś wprost z pod serca wyrwanych dobrych, niemądrych słów. Ale zdołał zdusić w sobie. Całował jej ręce i płynące niepowstrzymanie z dużych oczu łzy. Tym razem odszedł na zawsze. Szukał sensacji — a znalazł coś, czego się bał nazwać. Wolał odejść zanim nadejdzie spodziewana nuda. Nie chciał pamiętać.

Nie myślał więcej o tem wszystkiem. Wogóle starał się przestać myśleć. Czuł niepokój i żal — dominujące uczucia, tak dalece wyraźne, że zagłuszały zdziwienie z powodu dziwacznej sytuacji. Dżek czekał. Nie wiedział jeszcze na co — nie wiedział dlaczego. Było przecież zupełnie dobrze żyć dotychczas bez żadnych wstrząsów i przygód, żyć spokojnie, z pewnością że jeżeli w jakimś dniu kobieta zajmie miejsce w jego życiu — to taka jedynie, która da mu rzeczy najbardziej upragnione: karjerę i majątek. Miał wszelkie dane po temu: młodość, stanowisko, zdrowie. Nie groziły mu żadne komplikacje. Nie podzielał zdania matki w sprawach uczucia. Wzruszał pogardliwie ramionami, gdy Lady Harwood zrzadka i nieśmiało twierdziła, że w życiu pewne miejsce może zająć miłość. Zbywał ją ironicznym uśmiechem. Dżek Harwood nie jest szaleńcem i potrafi życiem swojem pokierować tak jak sam zechce!

Znienacka doleciała go piosenka. Śpiewał cienki głosik dziecięcy, słowa w nieznanym języku. Dżek nadsłuchiwał. Dziecko na ulicy nuciło półgłosem, zbliżając się wyraźnie do traktjerni. (W tej przeklętej dzielnicy pełno jest cudzoziemskich włóczęgów!) U licha! Jakiż to był język? I co znaczyły słowa owej piosneczki? W tej chwili zobaczył ją: była to mała dziewczynka, może pięcioletnia, brudna i obdarta. Na wychudzonych rączkach dźwigała ogromne kocisko i ciągnęła niezmordowanie wysokim głosikiem:

„Micaele - le, Micaeel -'le
er'un bel'gattino - no
bianco - co
griggio - gio
ner'com'un toppino - no!
Micaele - le, Micaele - le
c'i vol'un po di miele - le -
bravo Micaele - le, bravo Micaele - le"

Dżek zachwiał się i zakrył oczy dłońmi. Z boleśnie ściągniętemi brwiami zapłacił i wybiegł na ulicę. Ale niesądzonym mu był spokój dnia tego. Zaledwie zdążyły oswoić się źrenice ze zmierzchającym się dniem — gdy przymknęły się na nowo, jak od bólu.

Nie było wcale słońca na tej małej uliczce, na Przesmyku, łączącym Stary Rynek z Pasażem Kołodziejów. W błękitnawym zmierzchu lśniły własnym, bogatym blaskiem włosy stojącej opodal dziewczyny. Zwrócona profilem do Dżeka patrzyła uparcie w szybę wystawową małego sklepiku jubilerskiego, nad którym dyskretnie uśmiechała się niewyraźnie majacząca w mroku buzia bladej, malowanej pani. Dziewczyna z wyrazem skupienia wpatrywała się w ową szybę, zdającą się kryć jakiś jej tylko wiadomy, gorąco pożądany skarb. Lekko pochylona ku przodowi zastygła nieruchomo, rysując się ciemną ostrą sylwetką na tle białej, wapiennej ściany. Dżek patrzał i powoli uspokajał się. Serce biło coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie ustało prawie zupełnie. Pojedyńcze fale krwi, jak gorące młotki, uderzały w skronie zrzadka, miarowo, powodując rozkoszny ból. Świat

stał się odległy, mały i nieważny. Wszystko naokół zasnute było mgłą — a z tej mgły występowała jedna — jedyna na całym świecie twarz. Oczy gorejące płomieniem, który urastał do rozmiarów pożaru. Maleńkie lakierowane usteczka. Bezwładnie wiszące ręce. Dłonie zaciśnięte — napół dziecinne piąstki.

Można było stać tak zbyt długo — bowiem Dżek dnia tego stracił poczucie czasu, a dziewczyna zdawała się być obezwładniona widokiem wystawy. Jednak los zlitował się nad Dżekiem i oto z wnętrza ciemnego magazynu wypełznął na próg pan Aage Swörking. Był to ten sam starzec, który pochłonął uwagę Dżeka przed gmachem banku, jadąc starym, wyniszczonym powozem. Zwrócił się do dziewczyny — lecz zanim zagadał do niej coś chropawym głosem, obrzucił Dżeka badawczem, taksującem spojrzeniem. „Stary lichwiarz" pomyślał Dżek. W tej chwili odwróciła się dziewczyna i oczy ich spotkały się.

Nigdy w życiu nie mógł sobie przypomnieć Dżek Harwood jak się właściwie poznali. Pamiętał jedno tylko: wskazała ręką kolczyki i powiedziała głosem, w którym dźwięczał bolesny niepokój „są takie piękne". Oczywiście chciał je kupić dla niej natychmiast — okazało się jednak, że nie miał ze sobą portfelu. Wszystkie pieniądze wydał już przedtem w traktjerni, a pan Aage Swörking na zegarek i pierścionek patrzył podejrzliwie i nieufnie. Stanęło na tem, że przyjdzie tu nazajutrz. Obiecał to solennie i gorąco. Musiał dać nawet słowo honoru — chociaż i bez tego wróciłby na pewno.

Przychodził codziennie. Umiał napamięć — znał nawylot każdy kamień, każdy cień na załomie muru. Spędzali długie godziny w małej restauracji. Dżek cierpiał. Zatracił się zupełnie — nie był już sobą. W każdym geście, w każdym postępku, w słowach nieomal, był teraz nią, Micaelą, która umarła przez niego. Odnajdywał w sobie jej zawrotną fantazję, popełniał jej szaleństwa, czuł i rozumiał jej pozę i nierealność. Owe codzienne wycieczki w obskurną staromiejską dzielnicę brudną i ubogą, a tak piękną o zachodzie słońca, wpatrywanie się uporczywe w cudowną twarz nieznajomej dziewczyny, ukochanie bezpamiętne jej urody, którą kaleczyło straszliwe nieuctwo gwary i brak wszelkiej kultury, ukochanie dla dziwaczności i piękna tej przygody jedynie — wszystko to było jej godne — Micaeli, szalonej fantastki i marzycielki. Doszło do tego, że — tak jak ona — stał się wrażliwym na linje i na dźwięki. Sam dotąd często brutalny i ordynarny w słowach — drgał boleśnie ilekroć najdroższe na świecie usta kaził jakiś wyraz prostacki lub niewyszukany dowcip. Chciał piękna, pożądał go rozpaczliwie, szukał wszędzie i przywiązywał wagę do szczegółów dotąd niezauważalnych. I wraz z tem natura jego rozdwajała się boleśnie. Aż stało się, że pomyślał świętokradczo: dlaczego dusza Tamtej nie żyje w tej?

Któregoś dnia napisał wiersz. To był początek końca. Czuł swoje zatracenie i stał bezradny wobec tej wielkiej przemiany. Lekceważył obecnie wszystko: bank, dom, stanowisko i karjerę. Na lamenty matki odpowiadał wzruszeniem ramion i biegł czemprędzej na małą ciemną uliczkę Starego Miasta. Zdaleka uprzejmym, zagadkowym uśmieszkiem witał go szyld jubilera — smukłe paluszki strojące w perły upudrowaną szyję. Głodnemi oczami całował po raz tysiączny pochyloną głowę, ujętą w potrójne błyski szmaragdowych kolczyków. Nie umiał mówić. On, łatwy zdobywca kobiet, milczał wobec tej dziewczyny, modląc się i żebrząc bez słów, w cichości serca, zapamiętanych na zawsze słów Tamtej: „kocham cię bardzo". Czekał na te słowa, nie wierząc, że mogą przyjść, w śmiertelnej grozie, że jeżeli nie przyjdą — powtórzyć będzie musiał za Tamtą „odchodzę sobie zupełnie". Było to wszakże niepodobieństwem szydzić z niej tak za życia i być aż tak wiernem jej odbiciem po śmierci! I Dżek w zapamiętaniu błagał o przebaczenie: „mała dziewczynko — rozumiem wszystko! Zlituj się mała, skrzywdzona dziewczynko!"

Był już bardzo znużony, gdy wreszcie dnia któregoś listonosz przyniósł mu paczkę. Cienki zeszyt przysłany przez firmę wydawniczą publikującą spuściznę Micaeli Axell. Gwałtownym ruchem rozdarł kartki i czytał bez tchu:

„Dzień mój był jak błękitne kimono zahaftowane uśmiechami, a radość moja jak ptak ulatywała aż pod jasne niebo.

Przyszedłeś — i radość moja zestrzelona upadła na ziemię, a błękitne kimono moknie w żałosnych łzach.

Nie dziw się, obcy przybyszu, że w oczach moich dostrzegasz trwogę. Bacz by nie zamieniła się w nienawiść."

„I cóż ci przyszło z tego, że wtargnąłeś do mojego ogrodu i szorstko połamałeś mi kwiaty? Dlaczego nie pozwoliłeś im kwitnąć nadal w ich sennej niewiedzy?

Myślę żałośnie o tym, który być może nadejdzie, a któremu zabrałeś tak wiele: mój pierwszy wstyd i pierwszą, nieśmiałą rozkosz.

Odejdziesz wkrótce. I cóż ci przyszło z tego, że pośród moich kwiatów zniszczonych siedzę teraz i płaczę?"

„Dni są coraz krótsze i wkrótce spadnie śnieg. Spoglądam przez okno na daleką aleję, gdzie któregoś poranku ujrzę ślady twoich odchodzących stóp.

Z goryczą przypominam sobie, że nie prosiłam cię o przybycie ani też nie oczekiwałam twego nadejścia. Dlaczego tedy ból sprawia mi rozstanie?"

„Ale nie myśl przechodniu, którego cień padł na moje życie, że beztroska twoja jest trwałą i że niefrasobliwa radość będzie ci nadal drogowskazem!

Dałam ci bowiem przemyślnie i podstępnie coś, co ci na długo zamąci dzień powszedni i każe ci poznać gorycz tęsknoty.

Tem stanie się dla ciebie cała moja poezja i wszystkie moje bajki, które utracisz wraz ze mną.

Przeto nie myśl, wędrowcze przez ogrody młodych dziewcząt, że to ja jedyna złorzeczyć będę losowi, który nas zetknął ze sobą".

Dżek Harwood przestał czytać. Spokojnie położył książkę na biurku. Z małej szuflady wyjął zapomnianą, pogardzoną fotografję Micaeli. Uśmiechnął się do niej z czułością. Powiedział: „Jesteś pomszczoną, Micaelo, jesteś pomszczoną! Jestem już takim, jakim mnie mieć chciałaś".

Wieczorem tego samego dnia Dżek Harwood, prokurent Westbanku, doktor utriuque juris, klasyczny tancerz i najzagorzalszy materjalista wśród złotej młodzieży, siedząc w małej zadymionej restauracyjce, pochylił się nad ręką Dziewczyny w Kolczykach. Przytulił usta do tej ręki, która była dłonią najuboższej ulicznej dziewczyny i powiedział poprostu: „Kocham cię, Maud. Chcę, żebyś została moją żoną." I czekając na jej odpowiedź poczuł że od tego zależy całe jego życie.

Zofja Kachelówna

KRONIKA

POLSKO - FRANCUSKIE PRZYMIERZE. Właśnie kupiłam sobie na 11 czerwca bilet na „Tartuffe'a", gdy dostałam zaproszenie na obiad, wydany dla pana ministra Zaleskiego przez grupę parlamentarną francusko - polską, stowarzyszenie „France - Pologne" i „Amis de la Pologne". Każdy się domyśli, że skorzystałam z tego zaproszenia, jakkolwiek to było ostatnie przedstawienie klasyczne w Odéonie i jakkolwiek bardzo chciałam zobaczyć tę sztukę. Pomyślałam, że rzecz da się naprawić w przyszłym sezonie i że być wśród dyplomatów i polityków to zajrzeć w dusze, też godne pióra Moljera, i wtajemniczyć się w sprawy ciekawsze niż literatura. Mój Boże, kto wie ile na tem zebraniu będzie świętoszków na dzisiejszą modłę!

Okna Ministerjum Spraw Zagranicznych poprzez Sekwanę patrzą na Tuilerje, w miejscu, gdzie stał plac zburzony przez Komunę. Tam królowie przyjmowali utytułowanych i przez los uprzywilejowanych, tu reprezentanci demokratycznego narodu przyjmują wybrańców demokratycznych państw.

Wcale się to, odważam się powiedzieć „na szczęście", demokratycznie nie odbywa. Francuzi posiadają wielkie poczucie obyczajów towarzyskich, im zawdzięczamy savoir vivre'y, któremi karmiliśmy się przez wieki, a które opuściliśmy dla wygodniejszych powojennych, oni jednak są zbyt do swych tradycyj przywiązani, żeby chcieli coś zmienić. Raczej w życiu prywatnem, ale w życiu publicznem, czy to święto Joanny d'Arc, czy obiad dyplomatyczny, wszystko odbywa się wedle starego, pięknego zresztą protokołu.

W wielkiej sali, ze złoceniami u wysokiego stropu, olbrzymie lustra i kandelabry grają na sukniach i klejnotach nielicznych zresztą pań, a przedewszystkiem na odznakach różnych oficerów i komandorów, na błyszczących guzach u gorsów i kamizelek. Panowie, którzy dziś nieomal już nasze, kobiece, noszą kolory, przy strojach balowych rozwijają kokieterję motylkowatych krawatów i przeróżnych zapinek. Na zaproszeniach obok zawiadomienia „tenue de soirée" było „décorations", wiele więc wstąg, wstążek, wstążeczek, przepasek, naramienników i kokardek, różnokolorowych kwiatków w butonjerkach.



EDWARD WITTIG — EWA

Stoły ubrane narodowemi barwami państw sprzymierznych ze szczególnem uwzględnieniem polskich. Długie gałązki ponsowych róż rozsypane po obrusach, biało - czerwone bukiety stoją tu i tam, w korkach butelek zatknięte chorągiewki naprzemian dwu i trójkolorowe.

Główny stół honorowy jest na podniesieniu, zajmują go państwo Zalescy i państwo Chłapowscy, francuscy ministrowie i dygnitarze; drugi, mniej już honorowy, jest podstawą podkowy, mającej liczne odnogi. Każdy wchodzący do sali dostaje jej plan z zaznaczeniem swego miejsca. Mój śliczny i wygodny fotel — jak Francuzi dbają o wygodę! — stoi obok fotela pana Pic, deputowanego.

— A pan, — pytam sąsiada z prawej strony, — też „robi" politykę?

Okazuje się, że jest przemysłowcem i odrazu rozmowa zeszła na literaturę.

— Pan ma czas czytać? — pytam zdziwiona.

— W pociągu najlepiej się czyta.

Gdy wielki przemysł zacznie jeździć aeroplanami, czy nie zabraknie nam czytelników?

— Lubię bardzo polskie przekłady. Na nieszczęście tak ich mało!

Pragnęłabym, żeby wszystkie nasze propagandy słyszały ten żal! Panowie, którzy mają stosunki handlowe z Polską, łakną poznania terenu swej pracy także zapomocą pięknego słowa. Triumf to niemały i powinno się go należycie wykorzystać.

Obiad idzie szybkiem tempem, jakkolwiek trwa trzy godziny. Menu jest oczywista francuskie, tylko w lodach szef połączył gusta obu narodów. „Parfait glacé Franco - Polonais" są ułożone w warstwy kolorowe wedle porządku przepisanego na sztandarach. Obnoszą je po sali przy oklaskach, a potem dwie lodowe góry — w jednej płonie biała i czerwona latarka, w drugiej prócz tego świeci szafirowa — mistrz ceremonji stawia pośrodku honorowego stołu.

Fotograf londyński uwija się po sali niedyskretnie i fotografuje profile i enfacy w chwili, gdy się tego najmniej spodziewamy, muzyka wojskowa przygrywa donośnie, że głuszy rozmowę. Badam czy program umieszczony obok menu ma jaki związek z uroczystością lub z biegiem potraw. Na wstępie grano polski hymn narodowy i Marsyljankę. Pozatem „wina" Graves, Medoc, Sauternes i Szampan mają naprzeciw siebie „Sceny malownicze" Masseneta; te dwie rzeczy mogłyby się pokrywać, oczywista nie na obiedzie dyplomatycznym...

Czarna kawa. Panie z najwyższego stołu zaczynają już palić, inne je naśladują. Złote koniuszki ładnie wyglądają w świeżo zróżowionych, niezjadalnym ołówkiem, usteczkach. Moi sąsiedzi ciągną cygara i przepraszają że nie mają odwagi zaproponować mi wonnego Hawanna. Pocieszamy się, że i na to czas przyjdzie, tem bardziej, że siostry nasze po piórze już w tym względzie uprzedziły we Francji George Sand, a w Polsce, ktoby się tego spodziewał! — Narcyza Żmichowska!

Godzina mów. Pierwszy zabiera dłos prezes senatu, Paweł Doumer, potem minister rent inwalidzkich Ludwik Marin mówi o roli Polaków w czasie wielkiej wojny. On, który zajmuje się sprawą wynagrodzenia, — za rzeczy, często nie dające się wynagrodzić, — najlepiej wie o zasługach, jakie nasi dzielni żołnierze położyli we Francji.

Wśród ogólnej ciszy głos zabiera minister Zaleski. Wszyscy słuchają w skupieniu, bo to nietylko miłe słówka dla sali, ale enuncjacja polityczna. Ostatni przemawia senator Paul Boncour, który w Genewie dzielnie sekundował panu Zaleskiemu. Mówi doskonale, orator dawnej Francji. Mam wrażenie, że znam go z jakiegoś historycznego wydarzenia. Głowa silna, bardzo charakterystyczna, osadzona w ramionach. Już wiem. Tak wyglądałby Robespierre, gdyby dożył zasłużonego wieku dojrzałego. Robespierre, twórca kultu Najwyższej Istoty, dusza komitetu Ocalenia Publicznego, ten który obalił Dantona i tyle ofiar posłał na gilotynę, żeby wkońcu samemu zginąć na tej maszynce, która skraca ludzi... o głowę.

Paul Boncour głosi pokój i słowem pokoju kończy się polsko-francuska uczta.

W tymże czasie mieliśmy jeszcze jedną próbkę przyjaźni obu narodów. W ogrodzie przed pałacem Trocadero, niedaleko świeżo mianowanego „place de Varsovie", postawiono Ewę, rzeźbę Edwarda Wittiga, którą rząd francuski zakupił na wystawie polskiej sztuki w r. 1920. Jak widzimy, między temi dwoma datami w Sekwanie wiele wody upłynęło, rajcom dobrego miasta Paryża nie śpieszyło się widocznie sprowadzać jedną więcej Ewę do Paryża.

Mowcy francuscy, przemawiający na tej uroczystości, podnosili piękno emanacji polskiego pojęcia o pierwszej kobiecie i uważali że matka rodu ludzkiego doskonale się nadaje do raz jeszcze zamanifestowania braterskich uczuć obu rycerskich narodów, pełnych kultu dla kobiety. Jak przy każdej sposobności, mówiono wiele o podobieństwie francuzów północy z Francuzami — właściwymi, ale doprawdy podobieństwo to jest tak bardzo sztucznie naciągane.

Zresztą dlaczego koniecznie ma ono istnieć? To przesąd, żeby osoby z jednego rodu miały się kochać, właśnie dla węzłów krwi...

Był projekt, żeby okryć statuę polskiemi barwami; ale potem zdecydowano się na białą zasłonę, jako odpowiedniejszą dla wspólnej świata rodzicielki.

Polska Ewa spoczywa teraz pod czerwonem listowiem octowego drzewa, — sama. Ni jabłka, ni grzechu.

Czasem, gdy kobieta jest bez winy, to niema w tem żadnej jej zasługi...

Malibran (Paryż)

Z WYCIECZKI DO CZECHOSŁOWACJI. — Uroczystość dziesięciolecia naszej niepodległości i wielki popis - egzamin naszych prac i usiłowań, który przygotowuje się na rok przyszły w Poznaniu, każe nam pilnie baczyć jak też inne, równocześnie z nami odradzające się narody zużytkowały ten okres czasu, ile w nim zadań kulturalnych dokonały.

A w myśl starego powiedzenia przypisywanego męskiej połowie rodu ludzkiego: „my rządzim światem a nami kobiety", ciekawem będzie bardzo w jaki sposób ta ukryta doniedawna a dziś coraz jawniejsza i pewniejsza siebie sprężyna ich poczynań wystąpi w czasie wystaw i obchodów uroczystych, jak też swój wpływ i znaczenie zademonstruje.

Najbliższa sąsiadka Polski, Czechosłowacja pierwsza pokusiła się o wszechstronne przedstawienie swojego dziesięcioletniego dorobku na wystawie narodowej kultury w Brnie Morawskiem urządzonej. Pośpieszyłam więc skwapliwie, aby się przyjrzeć ogromowi nagromadzonej tam pracy, wybierając na użytek Swiata Kobiecego to co kobiety najwięcej zainteresować może.

Naprzód słówko o samej podróży. Jakie zmiany w tem państwie tak niedawno jeszcze przez austrjackich Niemców rządzonem i pod wpływem germanizacji pozostającem! Wszędzie tylko czeskie napisy, czeska mowa, a nawet wspaniałe hotele, pozostawione przez Węgrów nowym panom w Tatrach na Słowaczyźnie, noszą obecnie czecho - słowackie nazwy. Nie znaczy to bynajmniej, że Niemcy zniknęli z powierzchni. W samem Brnie, do którego podążamy, jest ich 66.000 na 230.000 ludności, ale nie są już rasą dominującą. Słowiańskość panuje na całej linji. I jakby dla ostatecznego zohydzenia rządów habsburskich, pokazują nam w starym zamku Szpilberskim, wzniesionym nad miastem swojem położeniem na wysokiem wzgórzu, kazamaty więzienne, w których w strasznych warunkach przebywało, w połowie zeszłego wieku, wielu polskich więźniów politycznych.

Spieszymy na wystawę, jakby z umysłu odsuniętą, od starych murów i przykrych wspomnień a umieszczoną na obszernym placu zamiejskim, na tle ciemnych, zalesionych wzgórz. Białe przeważnie, o prostych, nowożytnych linjach, budowle ślicznie się na niem odbijają.

Środkowe miejsce zajmuje pawilon główny, arkadowo zbudowany ze szkła i żelaza, od niego zaś rozchodzą się galerje, w których rozmieszczone są poszczególne działy wystawy. Czy dużo tam jest pracy kobiecej? Stosunkowo nie tak wiele, ginie ona bowiem w nawale tablic statystycznych i wykresów; jeżeli jednak chodzi o barwność, o wdzięk, nadający malowniczy wygląd wystawie, to główną rolę odegrała tu ręka kobiety.

Naprzód jednak trzeba zaznaczyć jej rolę w pracy ustawodawczej i w nauce.

W głównym pawilonie poczesne miejsce wyznaczono dla parlamentu. Nietylko że dano zmniejszoną podobiznę gmachu, w którym toczą się obrady posłów, ale otoczono ją portretami i plakietami posłów i senatorów. Znajdujemy wśród nich kilka nazwisk kobiecych; Czeszka bowiem od 1912 r. zasiada już w parlamencie, broniąc sprawy upośledzonych, występując w kwestjach dotyczących opieki społecznej.

A teraz nauka uniwersytecka. W tym nadzwyczaj obszernie uwzględnionym dziale znajdujemy niewielką szafkę, zawierającą rozprawy i prace naukowe kobiet czeskich. Słuchaczki stanowią tu 10% ogółu studentów. W 1926 r. było ich 2.174 na wyższych uczelniach czechosłowackich. Naturalnie, tak tu jak wszędzie, kobiety, kończące studja nawet z najwyższem odznaczeniem, zadowolić się muszą rolą asystentki; toga profesorska jest jeszcze dla nich niedostępna. Widzimy jednak w wyżej wspomnianej szafce pracę z zakresu działalności społecznej p. Milady Paulowej p. t. Kobieta w walce z alkoholizmem a p. Hozabowej poważny traktat dyplomatyczno - historyczny o Jugosławji w czasie wojny światowej.

Właściwą jednak i bardzo szeroką działalność rozwija tu kobieta w dziale szkolno - oświatowym i stowarzyszeniowym. I tu to właśnie została zaznaczona owa barwność, ozdabiająca trochę suchą, bo opartą na cyfrowych zestawieniach, Wystawę. Czy to w eksponatach szkół normalnych, w których szeroko uwzględnione są roboty ręczne kobiece, czy w szkołach przemysłowych.

Jakież tu bogactwo kolorowych haftów, opartych na czeskiej sztuce ludowej, ile pomysłowości w zdobieniu drobiazgów upiększających wnętrza mieszkaniowe. Witryny tylko zawierające modne stroje kobiece, wykonane w szkołach i pracowniach podług ostatnich wzorów, nie mogą zadowolić osób o wybrednym smaku. Czesi tak ambitni, żądający naczelnego miejsca wśród narodów słowiańskich, w kwestji mody i jej estetyki muszą innym narodom pierwszeństwa odstąpić.

Chociaż kto wie czy obecne połączenie ze Słowaczyzną, która jest wprost przebogatą skarbnicą wszelakiego zdobnictwa, nie podniesie ogólnego poziomu artystycznego Czechosłowacji. Urządzony na Wystawie osobny dział słowackiej sztuki ludowej aż rwie oczy prześlicznemi okazami pracy kobiecej. Co za hafty białe i kolorowe! Jakie naczynia o kwiatowych wzorach! Co za meble, pokryte, na ręcznych warsztatach wykonanemi, kilimami, o ślicznie sharmonizowanych barwach. Słowak corocznie malując swoją chatę, maluje odręcznie nad jej wejściem wieniec kwiatowy, a nierzadko i kobieta bierze za pędzel i tę pracę artystyczną wykonuje.

Wielką pomysłowość wykazały też kobiety czeskie w przedstawieniu swoich starań nad dzieckiem od pierwszego roku jego życia aż do wieku młodocianego. W osobnym pawilonie miasta Pragi, co prawda mającym kształt wielkiego pudła na żółto pomalowanego, ustawiono grupy dzieci - lalek doskonale wykonanych; w żłobkach, przedszkolach, w szkołach powszechnych, wreszcie w otoczeniu tych starań wychowawczych jakich im nie szczędzą i tych wszystkich urządzeń, które służą dla ich zdrowia i moralnego rozwoju.

Na wystawie stowarzyszeń kobiecych krzątało się wiele działaczek. Dowiedzieliśmy się tam, że biorą one żywy udział w akcji obronnej przeciwko zachłannemu germanizmowi, atakującemu ze wszystkich stron. Śliczna Łużyczanka w narodowym stroju objaśniała zwiedzających w jaki sposób ten zamierający już szczep słowiański broni się od ostatecznej zagłady i jak mu w tem czeskie stowarzyszenia dopomagają.

Najwspanialej wystąpiło stowarzyszenie kobiet katolickich. Portrety olejne założycielek i kierowniczek wielu instytucyj, grupy stowarzyszonych włościanek przeważnie, a dzieje działalności zawarte w olbrzymich księgach o złoconych brzegach, wyglądających jak biblje. I mówią tu o panującej w Czechach obojętności religijnej!

A teraz należy powiedzieć o tem co nowożytne wynalazki techniczne przynoszą gospodarstwu kobiecemu w zakresie ułatwień w pracy codziennej, domowej.

Na wystawie w Brnie urządzono fermę rolniczą, w której wszystkie zajęcia odbywają się zapomocą prądu elektrycznego, zastępującego w zupełności rękę ludzką. Pomijając pracę na roli i w podwórzu gospodarskiem, która jest udziałem mężczyzn, zatrzymamy się chwilę przy królestwie kobiecem, w kuchni i w domu. Poczynając od pralni, gdzie działają maszyny piorąc, susząc i maglując bieliznę, przechodzimy do ogródka okrytego bujną roślinnością, a skrapianego polewaczką elektryczną, następnie zaglądamy do piwnicy, gdzie zapomocą odpowiedniej maszyny przerabia się owoce na konserwy i marmelady, a innej znów suszy się na zimę. Każda zapobiegliwa wiejska pani domu nie chciałaby wyjść z mleczarni, gdzie znajdują się także udogodnienia jak: elektryczny przyrząd do zbierania śmietany, chłodnica, prasa do robienia serów, lodownia elektryczna itp. A mieszkanie! Skromne choć wygodne urządzenie, lecz jakie ułatwienia! Elektryczne ogrzewanie, oświetlenie, nawet zegar poruszany motorem elektrycznym. Ale największym przedmiotem podziwu są urządzenia kuchenne. Obok pieca elektrycznego znajduje się maszyna, która wykonuje wszystkie zajęcia: obiera jarzyny, bije śmietanę i jaja, kraje mięso i chleb, wyrabia ciasto. Mycie naczyń odbywa się też sposobem mechanicznym. Co więcej, w sąsiedniej wylęgarni proces ten odbywa się też pod wpływem prądu elektrycznego.

Warto było jechać i zobaczyć te wszystkie cuda, nadmienić jednak należy, że o ile w Ameryce, a nawet w Szwecji, są już one szeroko rozpowszechnione, w Czechosłowacji wchodzą dopiero w życie.

W każdym razie wystawa kultury czechosłowackiej w Brnie dała dużo ciekawego i pouczającego materjału. *I. W. Kosmowska*

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

CHRISTIAN CHERFILS: „Zarys religji naukowej, Wstęp do Wrońskiego, filozofa i reformatora". Z francuskiego przełożył Czesław JASTRZĘBIEC - KOZŁOWSKI, przedmową opatrzył Paulin CHOMICZ. Warszawa, 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka, 256 str. in 8-o z portretem Hoene - Wrońskiego.

Praca powyższa ukazała się w 150 - tą rocznicę urodzin Hoene - Wrońskiego jako drugie z rzędu wydawnictwo jubileuszowe a zarazem jako 20 - ta z prac Instytutu Mesjanicznego im. Hoene - Wrońskiego w Warszawie za czas blisko 10 - io letniego istnienia jego w Polsce odrodzonej. Zaiste bogaty plon wydawniczy, utrzymany nadto na tak wysokiej skali naukowej, iż w obecnej dobie powojennej żadna z naszych naukowych instytucyj wydawniczych ani pod względem ilościowym, ani pod względem jakościowym współzawodniczyć z nim chyba nie zdoła.

Są to coprawda przeważnie przekłady dzieł Hoene - Wrońskiego i jego francuskich interpretatorów, ponieważ dotyczą jednak najbogatszej z naszych skarbnic duchowych — polskiej filozofji narodowej — i, przyswajając językowi polskiemu, uprzystępniają narodowi naszemu nieznaną mu prawie genjalną twórczość najgłębszego jego myśliciela, wzbogacają przeto niepoślednio wyjałowioną myśl naszego świata uczonego i skupiają rozproszonego ducha narodowego około szczytnej idei — poszukiwania syntezy Dobra i Prawdy — wyczutej ongiś intuicją uczuciową naszych wieszczów, a dowiedzionej na drodze rozumowej w doktrynie Wrońskiego ze ścisłością naukową w sposób dydaktyczny.

Idea ta stanowi też zasadnicze podłoże filozoficzne „Zarysu religji naukowej", wydanej po francusku w r. 1898 i dedykowanej astronomowi francuskiemu, Yvon Villarceau, wielbicielowi i obrońcy czci Hoene - Wrońskiego. W pracy tej autor stawia sobie za zadanie podać w jedni syntetycznej doktrynę Wr. „myśliciela, co wyprzedził i swoje czasy i nasze" (str. 77); stwierdza, iż celem Wr. było ugruntowanie filozofji absolutnej lub przynajmniej zasad tej filozofji i że cel ten Wr. osiągnął. — „Jako reformator religijny a zarazem filozof, lepiej niż kto inny ustalił on zasady moralne i wyłuszczył ich następstwa" (str. 170). Jest pierwszym nowoczesnym matematykiem - filozofem, który naszkicował filozofję

religji i w tym szkicu ją ugruntował. — Przytaczając zdanie Renouvier'a, że chrystjanizm winien być wyzwolony ze skorupy, jaką pokryły go wieki, oraz znaleźć już to nowego objawiciela, już to genjusza filozoficznego, któryby go ukazał w formie, mogącej być przyjętą przez rozum i ostatecznie oczyszczonej, powiada: „można uważać, że tym genjuszem filozoficznym jest Wroński" (str. 171). Na str. 168—169 pisze: „To stopienie idei absolutu z ideą nowej ludzkości, minionej ewolucji z ewolucjami przyszłemi, przez samąż ideę rozwoju pojęcia absolutu, czyż już to samo nie jest, zważywszy epokę, znamieniem genjuszu? I mógłże się filozof pokusić o płodniejszą jaką reformę, niż w ten sposób ukazać ludziom życie?

Nadmienić musimy, iż przekład niniejszy dla czytelnika polskiego wzbogaca niepomiernie wstęp Paulina Chomicza: „Hoene-Wroński w Polsce i za granicą" (stron 71), w którym znajdujemy syntetyczne ujęcie życiorysu Wr., jego doktryny, dziejów jego twórczości naukowej oraz krótki przegląd literatury obcej i polskiej wraz ze zbiorem opinij tych pisarzy, którzy wiernie ujęli znaczenie doktryny Wr. lub tę czy inną jej część. Wyjątek czyni autor wstępu dla najsilniejszego przeciwnika naszego mędrca, wybitnego francuskiego matematyka J. Bertrand'a, przyczem, zbijając jego, pomija innych, którzy na nim się przeważnie wzorowali. Nadmienić tu wypada, że krytykowana na wstępie praca Bertrand'a była też jedną z pobudek dla Cherfils'a do napisania omawianego dzieła, co tłumaczy też ujęcie jego miejscami przechodzące w ton polemiczny.

W zakończeniu zaznaczamy, że dla szerszego ogółu czytelników, pragnącego powziąć ogólne pojęcie o tak głośnej dziś w kraju i za granicą doktrynie Wrońskiego*, dzieło Cherfils'a wraz z cennym doń wstępem daje materjał obfity i przystępny w ściśle objektywnem ujęciu. Poziom zaś literacki tłumacza, wykazany przy całej ścisłości przekładu, oraz wykwintna forma wydania czynią z książki tej cenny nabytek dla naszego księgarstwa.

Elżbieta Starostowa

I. W. KOSMOWSKA: „Rumunja, kraj i naród" (Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej 1928).

Nazwisko I. W. Kosmowskiej dobrze jest znane szerokiej publiczności. Autorka przeszło 20 książek, działaczka na polu pedagogicznem i społecznem zajmuje w literaturze popularno-naukowej wybitne stanowisko. Na wszechstronność jej niezmordowanej pracy wskazują już choćby same tytuły jej książek: „Kobieta polska jako autorka pedagogiczna", studjum „O Tadeuszu Czackim", „Studjum o Libelcie", „Związki młodzieży polskiej od r. 1816", „Polska pieśń wolności", „Domy ludowe", „Domy społeczne", „Pomorze polskie i Gdańsk", „Śląsk", „Południowa Słowiańszczyzna", „Zabytki Krakowa i nasi wielcy malarze" itd.

Ostatnio pojawiła się książka I. W. Kosmowskiej nakładem „Polskiej Macierzy Szkolnej" p. t. „Rumunja, kraj i naród". Książka daje pełny obraz Rumunji pod każdym względem. Autorka zapoznaje czytelników z geografją i historją kraju, ze stosunkami politycznemi i gospodarczemi, z folklorem i szkolnictwem, z literaturą i sztuką.

Ze względu na bliskie i przyjazne sąsiedztwo Rumunji, która coraz częściej staje się dla nas wakacyjnym celem wycieczek, jako też i ze względu na sumienne i ciekawe opracowanie — książka zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Książkę zdobią liczne ilustracje i mapa.

K. A.

MICHAŁ LITYŃSKI: Cztery tygodnie we Włoszech. Drugie wydanie przewodnika podróży po Włoszech, znacznie powiększone i uwzględniające najnowszy stan rzeczy. 1928. Nakładem S-ki Wyd. „Odrodzenie". Stron 339.

Bardzo pożyteczne wydawnictwo, zwłaszcza dla tych wszystkich szczęśliwców, którym losy pozwalają na wyjazd do słonecznej Italji. Nie jest to suchy przewodnik, podający szereg mniej lub więcej potrzebnych wiadomości, ale z głęboką miłością i znajomością sztuki — skreślony podręcznik o tem wszystkiem, co inteligentny turysta wyczerpać może w czterech tygodniach wojażu po półwyspie. Wiadomości ze sztuki podawane barwnie, wprost z nowelistycznem zacięciem, poddają subtelnej analizie najwspanialsze twory genjuszów latyńskich — nie pomijając żadnego ciekawego szczegółu. Szczególną pieczołowitością otoczone są wszystkie pamiątki polskie — którym poświęcono sporo miejsca i trudu.

Całość pomyślana jest w ten sposób, że wędrowca polski, przybywający z północy, zdąży najpierw do Ankony, wstąpi do Assyżu, zwiedzi Bolonję, Florencję, Rzym i Neapol wraz z okolicami. Przewodnik uwzględnia naturalnie i inne miasta pomniejsze, jak Padwę, Pizę, Ferrarę, Loretto, Rawennę, Veronę, Vicencę oraz Medjolan i Genuę.

Bardzo sumiennie ułożył autor wiadomości informacyjne, podające szczegółowo koszta dojazdu wszystkiemi możliwemi szlakami, oraz koszta pobytu we Włoszech wraz z adresami odpowiednich pensjonatów i hoteli. Bardzo użytecznem dopełnieniem są rozmówki włoskie oraz słowniczek najniezbędniejszych w codziennem życiu podróżnem wyrażeń.

Wydanie bardzo staranne na cienkim papierze, tak że książeczka mieści się doskonale w kieszeni ubrania mimo swej pokaźnej objętości.

Kto więc wybiera się do Italji i kto kocha tę klasyczną krainę piękna — niechaj zaopatrzy się w przewodnik M. Lityńskiego — a z pewnością z wdzięcznością będzie zawsze wspominał autora, który mu dał tak wiele cennych informacyj i wiadomości.

Wydawnictwo „Odrodzenie" spełniło dobry obowiązek wobec kultury i społeczeństwa, podejmując to cenne wydawnictwo.

St. M.

* O stopniu zainteresowania się H.-Wrońskim świadczy najlepiej fakt, że paryska firma wydawnicza J. Hermann świeżo wydała matematyczne dzieła Hoene-Wrońskiego w 4-ch tomach (cena 700 fr.).

CZASOPIŚMIENNICTWO RELIGIJNE ZA GRANICĄ

(Ciąg dalszy: 2)

BADACZOM historji ekklezjastycznej polecam bogatą w dokumenty *Revue d'Histoire de l'Église de France*. Zawarte w niej materjały są jednak zbyt specjalne, by mogły żywiej zająć nas laików. W *Études* (Nr 16, 1924) warto przeczytać uwagi GRANDMAISON'A o kryzysie wiary wśród młodzieży. Wreszcie, nim skończę ten przegląd czasopiśmiennictwa religijnego we Francji (przegląd zgoła dorywczy i bardzo niekompletny), pragnąłbym jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na ładny wiersz ROLLIN'A *(Le Correspondant*, Nr 1493, 1924) do kapłana-poety Ludwika le Cardonnela, którego u nas pięknie tłumaczyła pani Anna Czerny.

II

Wszystko, co wiem o dzisiejszym ruchu katolickim we Włoszech, zawdzięczam wyjątkowej uprzejmości pana Francesco Bassi (w Medjolanie), który nie zrażając się moją nieświetną włoszczyzną, z całą gotowością służy mi informacjami listownemi, tudzież bezinteresownie dostarcza ciekawych publikacyj perjodycznych i książkowych. Korzystam ze sposobności, by mu za to serdeczną wyrazić podziękę.

Cechą, odróżniającą religijne czasopiśmiennictwo włoskie od francuskiego, jest większa rozlewność pierwszego, częstsza w niem nutka liryczna, przechodząca nierzadko w słodkawość. Namiętniejsze i, sądziłbym, nieco płytsze usposobienie italskie lubuje się w zewnętrznej okazałości, w obchodach, rocznicach, ceremonjach kościelnych. Bliskość ośrodka najwyższej Władzy świata katolickiego wpływa też widocznie na gorętszy prozelityzm. Ujmuje w tej literaturze jej bardzo szczery zapał, jakaś młodzieńcza świeżość, radość ze zwycięstw odniesionych, żarliwe pragnienie dalszych, jakieś konkwistadorskie liczenie sił na zamiary. Możnaby zaryzykować powiedzenie, że Francuz dba nadewszystko o pogłębienie religji, Włoch — o jej propagandę.

Ten naprzemian rzewny, to znów wojowniczy ton ilustrują same już nagłówki artykułów. Przytoczę kilka z doskonale prowadzonego miesięcznika *Vita e Pensiero*. Więc: „Apel do serca i głowy katolików włoskich", „Gorączka organizacji ekonomicznej", „W godzinie udręki", „Braterstwo", „Usprawiedliwianie... przesadnej mody" itd. itd. — Rocznik 1924: W n-rze marcowym warto przeczytać zwłaszcza artykulik prof. PUCCI'EGO „Od Maltusa do wyludnienia Francji". W lipcowym — bardzo ciekawe sprawozdanie CASNATI'EGO z pracy Franciszka Olgiati p. t. „Humanizm i Odrodzenie wobec metafizyki Bytu". Sumienna i uczona ta praca ma na celu udowodnić, że filozofja tomistyczna jeszcze się nie przeżyła, że przy pewnem jej zmodernizowaniu będzie zdolna stać się na nowo niewzruszoną podstawą spekulacyj metafizycznych („San Tommaso non è morto, e il Dio della *Somma* regna ancora sovrano, creatore e ordinatore, sopra gli esseri subordinati)... Nie podzielam tych nadziei; galwanizowanie scholastycyzmu wydaje mi się nazbyt już prostym środkiem zaradczym na dręczące nas niepewności. Nieśmiertelne jest chrześcijaństwo, ludzkie zaś myśli o niem muszą się wiecznie odradzać, wiecznie iść naprzód. — Zeszyt sierpniowy przynosi ciekawą paralelę pomiędzy Mazzinim a Marxem, we wrześniowym daje GEMELLI przyczynek do niezmiernie ważnej, a tak jeszcze niedostatecznie zbadanej sprawy: psychologji nawróceń; w grudniowym mówi tenże autor o eugenetyce ze stanowiska moralności katolickiej. Wreszcie w lutowym zeszycie 1925 znajdujemy piękny artykuł wstępny o Roku jubileuszowym chrześcijaństwa.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

MODELE MÓD



642 Suknia kombinowana z wełny angielskiej i jedwabiu do prania. Fałd z przodu spódniczki wstawiany. Bluzka sportowa wkładana pod spódniczkę, której część wydłużona zapina się na 2 guziczki pod kołnierzem bluzki.

643 Suknia z wełnianej crêpe de Chine beige. Spódniczka kloszowa o nierównym obwodzie.

644 Suknia kombinowana z dwóch materjałów: czarnej crêpe satin i lawendowej popeliny jedwabnej. Kołnierz i mankiety z białej organdi.

645 Suknia z cienkiej wełnianej crêpe marocain w kolorze czerwonym. Plisy z czarnego atłasu. Wycięcie i kołnierz z białej Georgette. Pasek lakierkowy czarny lub do koloru sukni.



646 Suknia z niebieskiej tafty. Kołnierzyk i kwiaty z cielistej Georgette.

647 Skromna sukienka z karczkiem z czerwonej Georgette, cała plisowana z wyjątkiem pasów szerokości 10 cm zprzodu i ztyłu.

648 Stylowa sukienka z dwóch materjałów: staniczek z czarnego atłasu, falbanki skośnie krajane z blado-różowego muślinu. Kwiat fantazyjny związany czarną atłasową wstążką.

649 Sukienka z crêpe de Chine koloru jasno-lawendowego, przybrana nierówno falbankami, których puszystość polega na silnem zmarszczeniu, a potem na włożeniu we fałdy.







650 Kostjum do ślizgawki z panamy jasno-orzechowej. Żakiecik zapinany zprzodu na skórkowe guziki, kołnierz z nutrii, albo innego futerka, pasek z grubej skóry wytłaczanej. Na mankietach klamerki skórkowe. Spódniczka z głębokim fałdem wstawianym. Baskinka imitowana wąziutką nervure (zakładeczką).

651 Kostjum do ślizgawki z gabardyny piaskowej. Żakiecik włożony na pullover, pasek skórzany, szalik z himalaji. Spódniczka gładka, z nakładanym fartuszkiem.

652 Kostjum narciarski z żakietem z impregnowanej gabardyny lub z sukna w kolorze spodni. Żakiet ten, czyli t. zw. wiatrówkę, wkładać można na każdy kostjum sportowy. Kieszenie asymetryczne po jednej stronie. Guziki krawieckie, rogowe. Spodnie długie, z granatowego sukna diagonal.



653 Kostjum do saneczek z grubego lodenu, albo z materjału angielskiego. Żakiecik w stylu rubaszki; dołem grube, ciemne stebny. Drobne skórkowe guziczki. Pasek z lakierowanej skóry w kolorze stebnów i guziczków. Spodenki sportowe jak u dołu.

657 Sportowy płaszcz z popielatej kashy zimowej, ozdobiony stebnami.

654 Płaszcz z panamy w kolorze złotawym, przybrany rudym lisem.

655 Klasyczny trench - coat z tweedu.

656 Wieczorowy płaszcz z brokatu w odcieniu perłowym, przybrany fantazyjnem futrem puszystem. Przybranie głowy do wieczorowych toalet z lamy złotej.



658 Toaleta dla drużki, albo dla młodej panienki z orszaku ślubnego. Cała drobno plisowana z Georgette w kolorze szampańskim; pasek złoty.

659 Toaleta ślubna z białego jedwabiu matowego. Spódniczka w głębokie klosze, o nierównym obwodzie. Wycięcie niesymetryczne.



660 Toaleta dla matki Panny Młodej z fiołkowego aksamitu, albo lśniącego jedwabiu. Wycięcie stanika i boki spódniczki z gazy, albo muślinu jedwabnego — może być równie dobrze koronka — w kolorze lila.

661 Suknia z czarnego aksamitu na białym spodzie.

662 Suknia z lamy wzorzystej; boki z gazy lub wogóle jakiegoś powiewnego materjału.

663 Suknia z koronki kolorowej na jedwabnym spodzie stonowanym.

664 Suknia w kolorze bławatowym z miękkiego jedwabiu matowego. Wykończona nervure'ami i czarnemi krawateczkami u rękawów.

665 Ubranko domowe do zabawy.

666 Ubranko z ciepłej wełny.

667 Płaszczyk z himalaji, z kołnierzem stojącym.

668 Kurtka sportowa z cover-coatu. Kołnierz z baranków strzyżonych.


665
666
667
668
669
670
671



669 Kurtka szkolna z grubej wełny. Kołnierz szalowy z dowolnego futra.
670 Płaszczyk dwurzędowy, na ośm guzików, kołnierz szalowy, pasek z materjału, kieszenie naszywane.
671 Płaszczyk angielski z wielbłądziej wełny.
672 i 674 Spódniczki na staniczkach do bluzek wkładanych po wierzchu.
673 Spódniczka angielska, zawijana.
675 Spódniczka fantazyjna, z dwoma asymetrycznemi fałdami.
677 Spódniczka z jasnej kashy; bluzka z petite reine.
678 Spódniczka układana we fałdy; spódniczka z jedwabiu do prania.

Zwracamy uwagę Czytelniczek na najnowsze fryzury i kapelusze.



BIAŁA PERUCZKA

Jest czarująca i tajemnicza, bo związana ściśle z epoką karnawałową, z marzeniami o redutach, kostjumach stylowych, maskaradach, mistyfikacjach.

Czyż jest kobieta, którąby choć raz w życiu nie zapragnęła ujrzeć siebie w białej peruczce? Przebrać się, zmienić się do niepoznania, od stóp do głowy. A nawet włosy swoje czarne, czy złote, skryć pod srebrzystą aureolą — i nałożywszy maseczkę zwodzić, intrygować, psocić, zaciekawiać. Być sobą śmiało, bez obaw i skrępowania etykietą lub znajomościami. Być dużem, beztroskiem dzieckiem, które wprawdzie wie, że tam gdzieś za oknami sali balowej czyha inne życie wraz z całym ciężarem obowiązków, lecz właśnie dlatego chce wyzyskać te, jedyne w swoim rodzaju, chwile absolutnej swobody w przebraniu.

Kostjum zmienia nas nietylko zewnętrznie, lecz budzi również właściwości intelektualne postaci, którą przedstawiać chcemy. Żyjemy jak w bajce, w świecie ułudy, w pożądaniu rzeczy i zdarzeń niezwykłych, w oczekiwaniu wszelakich niemożliwości dnia powszedniego.

Łaskawa i wspaniałomyślna moda pozwala obecnie na białą peruczkę nietylko do kostjumu stylowego rokokowego, lecz i do fantazyjnych toalet balowych. Stawia jednak przytem warunki, które muszą być bezwzględnie przestrzegane.

Nie wolno peruczki rokokowej wkładać do nowoczesnej toalety, świadczyłoby to bowiem — w różnych kierunkach — ujemnie o jej właścicielce. A ponadto, ośmieszyłoby ją nieodwołalnie.

Biała peruczka nowoczesna wykonana jest nie z włosów, lecz z przecudnej srebrzysto-białej peli. A układać z niej można wszystkie modne fryzury, od gładziutkiej garsonki do puszysto zondulowanych fal. Wszelkie fantazje i odmiany fryzur są możliwe i łatwe do wykonania.

Oprócz gotowych peruczek mają fryzjerzy na składzie takie srebrzysto-białe pasma, lub pasma białych włosów, z których mogą ułożyć na głowie modną fryzurę.

I to są właśnie uczesania i peruczki białe, na które można sobie bez obawy pozwolić przy fantazyjnych toaletach balowych.

Natomiast do skromnych sukien wieczorowych nie nadają się stanowczo.

A teraz posłuchajmy różnych ciekawych zdań zaczerpniętych z ankiety perukowej. Głos zabierają wielkości filmowe.

Asta Nielsen: Znajduję, że biała peruczka jest urocza, ale tylko w kształcie fryzury chłopięcej, którą, jak to wszystkim wiadomo, ja sama stworzyłam i wprowadziłam. Już choćby dlatego samego musi mi być sympatyczną.

Lil Dagover: Biała peruczka jest jednym z problemów mody, którego rozwiązanie jest bardzo proste: jednym jest w niej dobrze, drugim — źle.

Lya Mara: Peruczki mogą nosić tylko te panie, które żadnych nie potrzebują.

Marja Orska: Co myślę o peruczce? Mój Boże, właściwie nic. Mam własne włosy, a reszta nic mnie nie interesuje.

Anita Berber: Nie noszę peruczki, bo mi się moje włosy podobają. Pozatem uważam to za rzecz niewygodną.

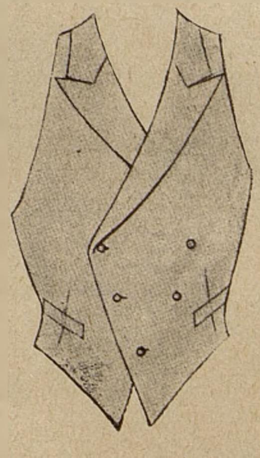
Erna Morena: Jestem stanowczo przychylnie usposobiona dla peruki, gdyż pozwala na różnorodne ukształtowania głowy. Jest więc wzbogaceniem mody, a zatem czemś korzystnem. W każdym razie musi peruka odznaczać się czemś oryginalnem i nosić cechę artyzmu. Te banalne, białe peruczki, które widujemy ostatnio na balach, pozbawione są finezji i wdzięku.

Fern Andra: Peruka pochlebia prawie każdej twarzy, wymaga jednak silnego maquillage'u (szminki) i to dostosowanego ściśle do charakteru peruczki. Dlatego to zapewne damy z epoki rokoka spędzały tak długie godziny przy toaletce nad słoiczkami, miseczkami, różem, pudrem i muszkami, że aż im czasu brakło na porządne umycie. W każdym razie uważały maquillage za korzystniejszy dla cery od mycia. Jakkolwiek przyznaję, że podoba mi się zgrabnie uszminkowana ładna kobieta w odpowiedniej peruczce, jednak sama jej nie używam w prywatnem życiu. W moim zawodzie mam dosyć sposobności do tego, a ponieważ tylko niezwykłe i nowe nęci ludzi, więc prawdopodobnie w tem leży przyczyna, dlaczego artystki sceniczne i filmowe widujemy na balach publicznych tak rzadko w peruczkach.

Dokończenie na str. 491

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Ubraniom codziennym, t. zw. marynarkowym, poświęcić trzeba nie mniejszą uwagę, aniżeli wizytowym lub wieczorowym. Spędza się w nich większą część dnia i naraża wśród pracy na szybsze zniszczenie, gdyż wśród absorbującej pracy zawodowej trudno uważać na każdy ruch. Stykać się trzeba z różnymi ludźmi w biurach i lokalach niezawsze idealnie czystych, używać środków lokomocyjnych przeważnie zapylonych.



Z tych to powodów ubrania codzienne powinny odznaczać się niezwykłą starannością i być wykonywane z najlepszych gatunków. Mężczyzna źle ubrany, t. j. zaniedbany zewnętrznie, nie może na nikim zrobić korzystnego wrażenia, każdy zaś zawód daje sposobność do obcowania z ludźmi bądź to u siebie w biurze, bądź przy sposobności konferencyj na mieście, czy też w biurach drugich. Nie chodzi tu bynajmniej o ostatni wyraz mody, ale o wytworną całość mówiącą o staranności i czystości. Zaś najlepsze gatunki materjałów dlatego są zalecane, że powolniej ulegając zniszczeniu, wypadają najtaniej.

W kroju ubrań marynarkowych zaszły zaledwie nieznaczne zmiany.



Noszone są zarówno jedno jak i dwurzędowe, a w zapięciach obowiązuje następujący kaprys: trzyguzikowe jednorzędowe zapina się tylko na środkowy guzik, dwurzędowe na dwa dolne. Dwa górne mają tylko imitowane zapięcie. Dodawane są do ubrań z materjałów kolorowych angielskich, przy jednolitych i czarnych odpadają. Przy jednorzędowych brzeg marynarki od dolnego guzika począwszy przybiera łagodną, łukowatą linję.

Wyłogi są szerokie, przyszyte do kołnierza w linji poziomej lub lekkim ukosem opadającej wdół.

Spodnie umiarkowanie szerokie, zakończone wyłogiem, który odpada przy ubraniach czarnych lub ciemnogranatowych z jednolitego materjału.

Rękawy wąskie, równe, bez poszerzeń w okolicy mankietów.

Ubrania biurowe, i wogóle do pracy zawodowej, wykonywane są z praktycznych, kolorowych materjałów w dyskretne kratki, linje i w deseń, albo przetykane kolorowemi nitkami. Są one dlatego faworyzowane do tego celu, gdyż gromadzący się w ciągu dnia pył nie razi na nich tyle, co na jednolitych, ciemnych.

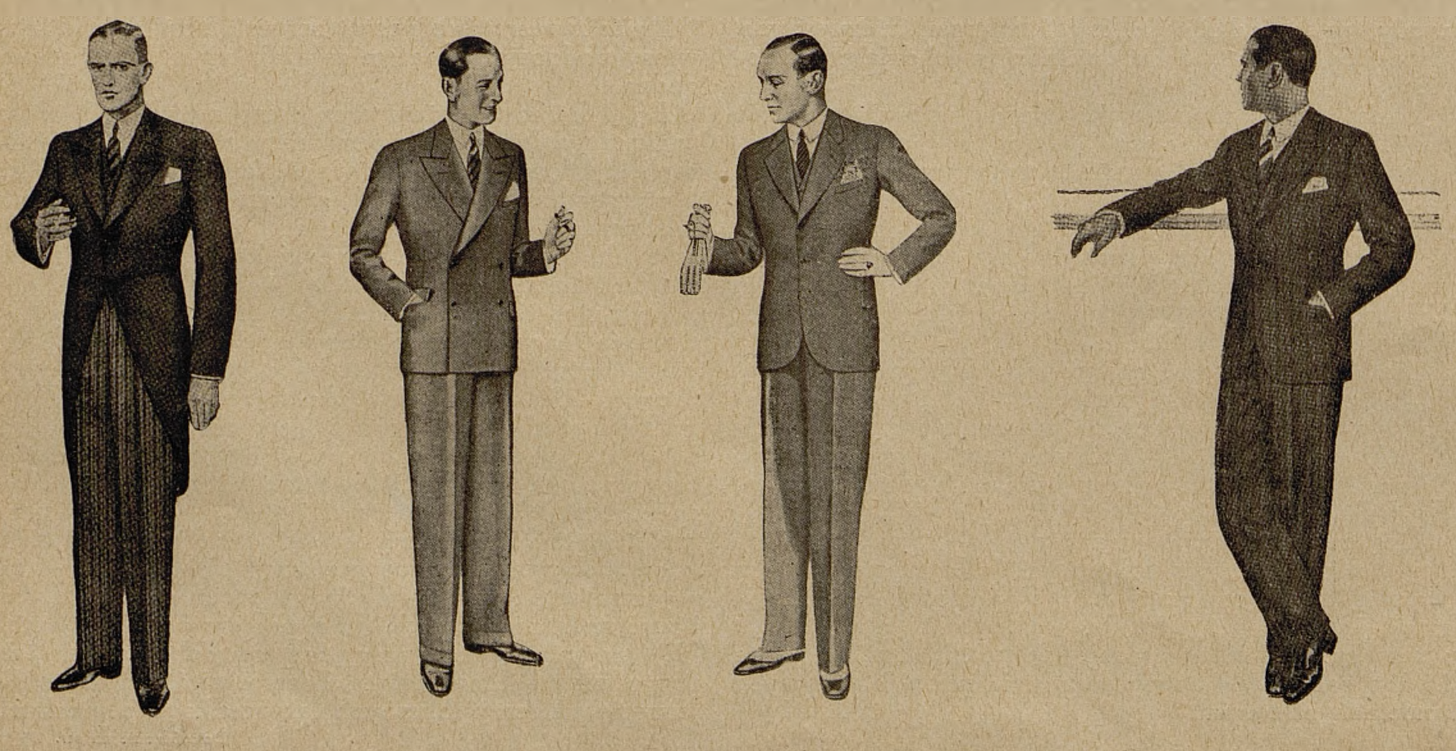
Na popołudniowe przeznaczone są ciemniejsze, przeważnie gładkie materjały. Modne kolory: bronzowy, granatowy, czarny, ciemno-fiołkowy i wzajemne kombinacje tych kolorów. Jest już w tych ubraniach pewna nuta wizytowa, tem bardziej zaś, że spodnie nie mają wyłogów dołem.

Nowością w zakresie tych popołudniowych ubrań są koszule z kolorowych materjałów we wzór coprawda niezmiernie dyskretnych, pastelowych. Używa się na nie jedwabiu lub zefiru. Od godziny siódmej obowiązuje już bezwzględnie biała koszula z twardym kołnierzykiem.

Z drobnych, ale niemniej przeto ważnych, szczegółów wymienić jeszcze należy pewne obowiązujące cechy: ramiona szerokie i kanciasto wypracowane, marynarki przylegające, jednak nie za obcisłe w biodrach; wyłogi, rękawy i kieszenie trzymają się prostej linji. W górnej kieszonce zawsze widoczny róg chusteczki byle nie: pstro batikowanej, jakiej żaden prawdziwie wytworny mężczyzna nigdy w swej garderobie nie miał.

W ostatnich latach składali, zwłaszcza młodzi panowie, wizyty w czarnych marynarkowych albo kombinowanych ubraniach. Jest to kompromis na rzecz wygody i nieskrępowania się różnemi względami, nawet bardzo praktyczny zapewne i upraszczający stosunki towarzyskie.

Jednak wedle pojęć ogólno-europejskich był zawsze, a i teraz jest żakiet typowo wizytowem ubraniem.



W obecnym sezonie ma szerokie wyłogi zacinane w kierunku do góry, przylega ściśle do figury i zapięty jest na jeden guzik. Kamizelka z tego samego materjału, wysoko zapięta na 5 lub 6 guzików, widoczna z pod żakietu górą i dołem. Spodnie z popielatego kamgarnu w paski, jak zresztą zwykle.

Żakiet jest najodpowiedniejszem ubraniem do składania oficjalnych wizyt, na herbatki o piątej po południu i na inne zresztą okoliczności towarzyskie w ciągu dnia. Nie mówiąc już o różnych uroczystościach przed i popołudniowych noszących charakter społeczny, czy sportowy — wszędzie i zawsze żakiet jest na miejscu.

*

(Nasze wyroby gładkich materjałów na ubrania wizytowe z fabryk bialskich i bielskich stoją narówni z najlepszemi zagranicznemi.) *Gentleman*

O STROJU WIECZOROWYM

Najbardziej ze wszystkich dziedzin mody wyzwolił się strój wieczorowy z panujących uprzednio ideałów prostoty i prostolinijności i on też najkonsekwentniej hołduje nowemu stylowi. Nietylko wieczorowe suknie, wierzchnie okrycia, torebki, obuwie i biżuterja, ale nawet i fryzury — a więc coś od owych rzeczy znacznie bardziej zasadniczego — na wieczór muszą się starać o „iście kobiecy charakter i urok".

Ośrodkiem wieczorowego stroju jest wieczorowa suknia o nieprzebranych w tym roku możliwościach w kroju i ogromnym przepychu materjałów. Dla wszystkich jednak kobiet, których nie stać na kosztowne trzymanie się drogiej tegorocznej mody, a więc dla większości, zaznaczam zgóry że i skromną nawet sukienkę — byle była bez rękawów — można z powodzeniem włożyć na wieczór, jeśli się resztę stroju odpowiednio wystylizuje. Więcej niż kiedykolwiek szczegóły decydują o całości.

Najczęstszym materjałem wieczorowych toalet jest koronka, tiul, mora, muślin, velours chiffon i velours de soie, gładki lub façonné, tafta — na suknie stylowe — brokat, a oprócz tego perły, pokrywające całe suknie, tak że mimo paradoksalności takiego określenia można je zaliczyć w poczet materjałów na suknie. Crêpe satin, też używany, uchodzi na wieczór za materjał skromny.

Z kolorów bardzo modny czarny, złoty, a najbardziej ulubiony czerwony w przeróżnych odmianach. Dużo też jest sukien białych i zielonych.

W fasonach istnieją dwa typy. Skromniejsze, noszone do kolacji, teatru, na mniejsze przyjęcia, i tak zwane robes de grand soir, wielkie toalety. Różnica polega głównie na tem że te drugie są zprzodu i ztyłu wydekoltowane do możliwie najdalszych granic, przyczem wycięcia te są albo kwadratowe, albo, co jest modniejsze, śpiczaste, lub, co uchodzi za największy szyk, zprzodu okrągłe a ztyłu śpiczaste, podczas gdy normalne wieczorowe suknie w tym roku są stosunkowo niewiele wycięte. Prócz tego owe paradne suknie miewają częstokroć treny, albo na biodrach lub poniżej nich udrapowane z tiulu lub tego samego materjału tak zwane panier, odstające lub opadające majestatycznie ku dołowi. Ozdobą ich nie jest „skromna" perła, choćby barwna, ale lśniący strass.

Dla jednych i drugich regułą jest tył znacznie dłuższy aniżeli przód.

Staniki wieczorowych sukien — nie owych uroczystych toalet — są po największej części gładkie, przybrane najwyżej drobnemi zakładeczkami na ramionach, żabotem, spadającym falisto z prawego ramienia, lub haftem, okalającym dekolt. Czasami miewają też szale z tego samego materjału, przytwierdzone w jednym punkcie na ramieniu, albo — te są dłuższe i węższe — nigdzie nieprzyszyte, obwiązane dookoła szyi i wiszące wolno aż do brzegu spódnicy prawie.

Krój spódnic, zawsze pełen fantazji, zależy głównie od materjału. Muślinowe bywają najczęściej pełne falbanek, krajanych w klosze lub zygzaki, albo też fałdowanych gęsto. Morę i aksamit szyje się w godety, przyczem moda wymaga, by ich mniej było zprzodu, a coraz więcej ku tyłowi. Koronkowe suknie też głównie są falbankowe, ale falbanki te są o formie nieuchwytnie nieregularnej, co efektownie podkreśla lekkość materjału.

Specjalną rolę gra w tym sezonie pasek. Jest on nietylko nieodzowny, a mieści się, nawiasem mówiąc, już całkiem prawie na swem przyrodzonem miejscu, ale stanowi najczęściej największą ozdobę sukni, główny jej urok.

Bardzo mile widziane są paski haftowane perłami i zakończone ozdobną klamrą z kamieni. Do licznych obecnych czerwonych sukien za eleganckie uchodzą np. czarne perłowe dość szerokie paski z rubinową klamrą. Klamry ze strassu zdobią często paski z materjału, albo zakończają perłowe motywy, umieszczone na prawym boku nielicznych sukien bez paska. Paski te są zazwyczaj szerokie, drapowane, często też zakończone kokardą lub węzłem o nisko spadających dzwonowych szarfach. Nowy i bardzo modny jest pasek, dwa razy okalający biodra, a ztyłu związany w węzeł, którego dwa szerokie końce gubiącemi się dzwonami spadają duży kawał poza brzeg spódnicy.

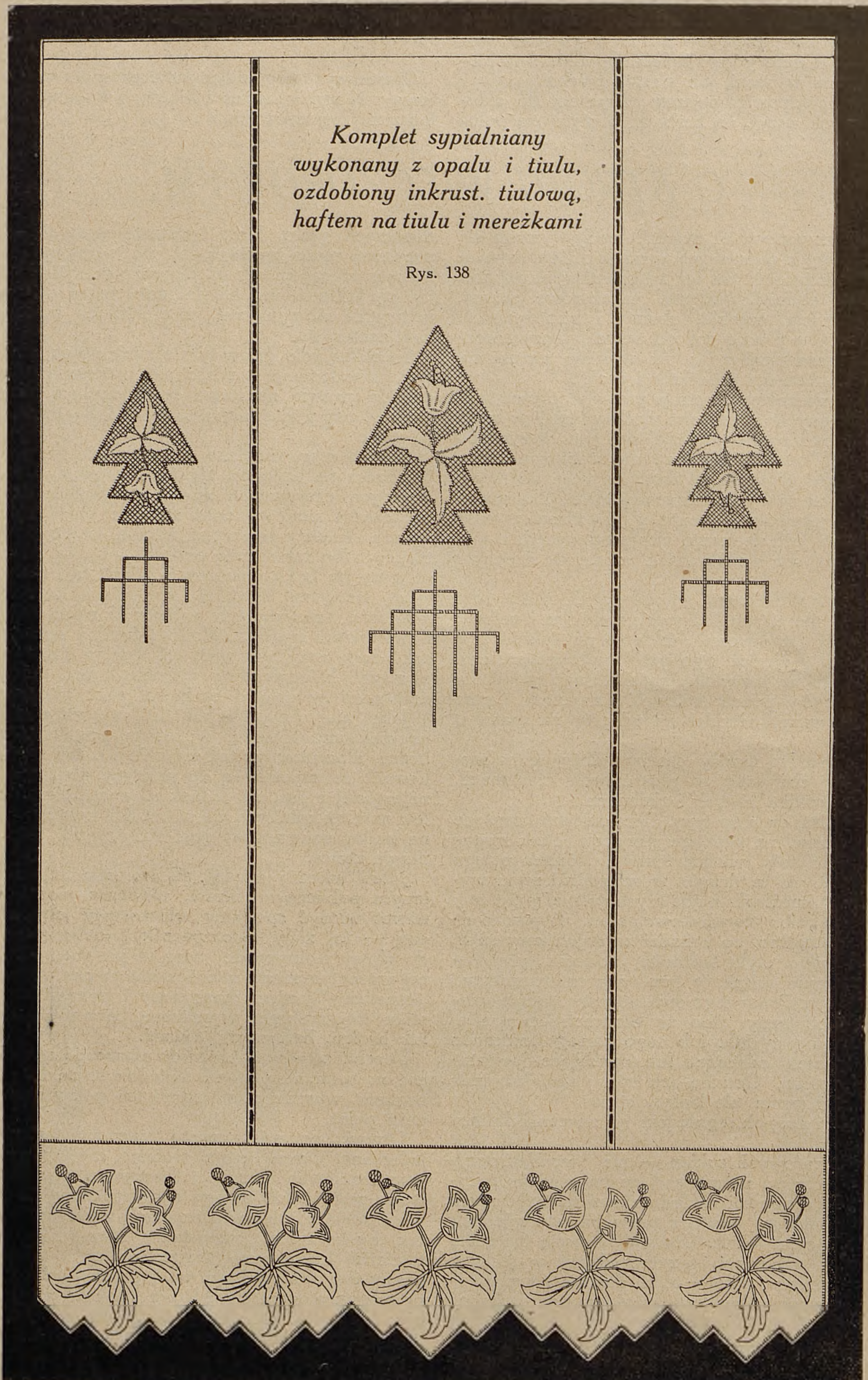
Jako wierzchnie okrycie nosi się głównie peleryny futrzane, aksamitne lub brokatowe, bogato futrem przybrane, albo płaszcze tak szerokie i o tak szerokich rękawach że zupełnie są do peleryny zbliżone. Kołnierz najczęściej z lisa, są jednak eleganckie modele z szalem zamiast kołnierza lub nawet bez kołnierza, a wtedy na karku umieszczony jest duży węzeł, skąd zwisają długie końce.

Jeżeli wieczór spędza się w restauracji, barze lub innym publicznym lokalu, wówczas można i należy nawet włożyć specjalny wieczorowy kapelusz, a raczej — tej zimy — czepeczek, przylegający zupełnie do głowy i okrywający uszy aż po kolczyki, które robią wprost wrażenie zakończenia czepka. Materjał tych „kapeluszy" jest arcykosztowny i wykwintny: koronka złota lub srebrna, wysadzana barwnemi kamieniami, lub brokat, haftowany perłami.

Torebki są albo dobrane do płaszcza i z tego samego, co i on, futra, albo też odpowiednie do sukien — z mory, brokatu, wysadzane strassami lub pokryte całe haftem petit point.

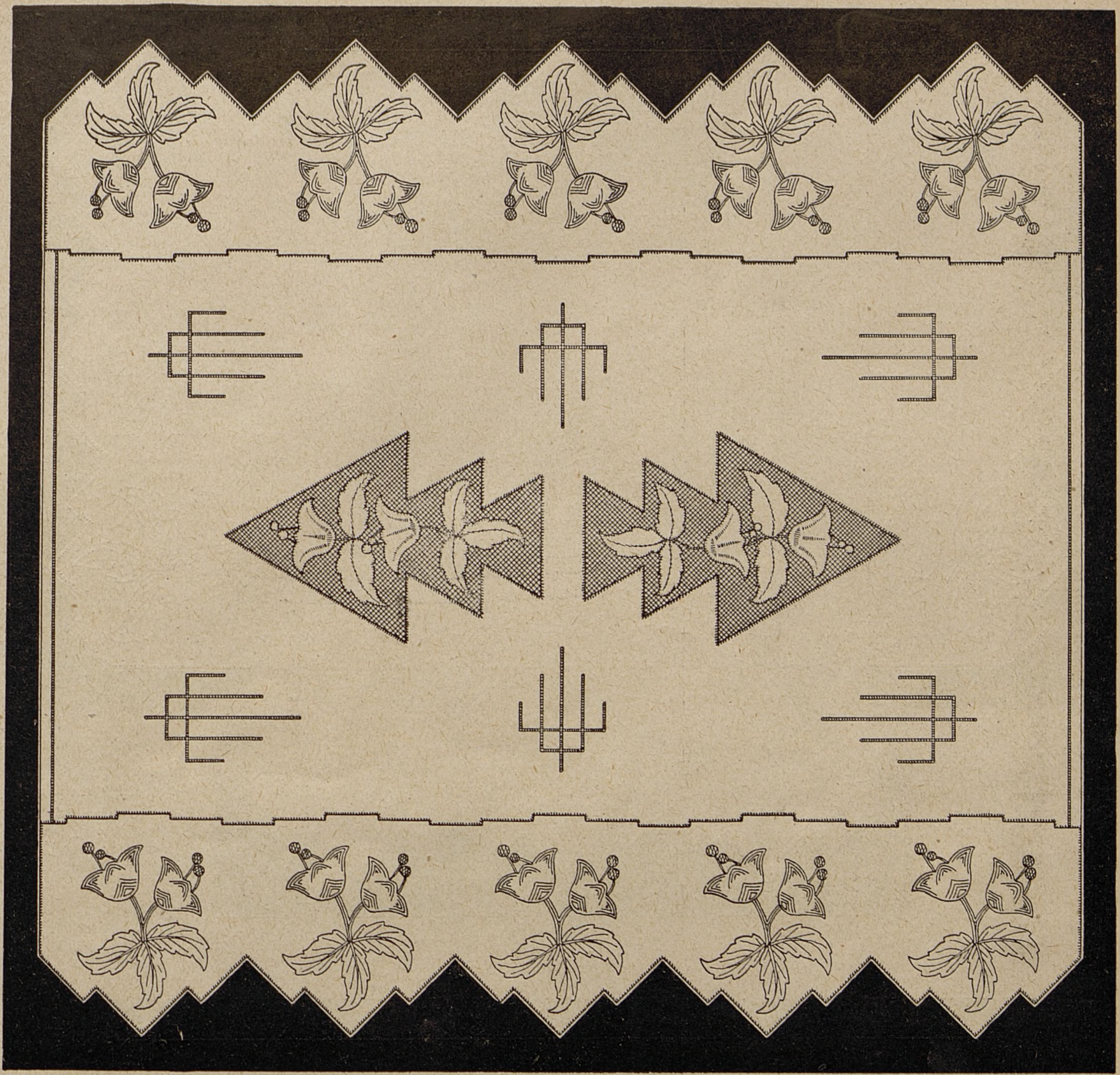
Obuwie, oczywista czysto francuskie, jest co najmniej jedwabne. Czarne, złote, srebrne, czerwone itd. Prócz tego brokatowe lub z mory. Naszywane strassami, haftowane perłami lub pstrym sznureczkowym haftem.

Biżuterję też obecnie komponują wielcy krawcy, a więc tak, by korzystnie uzupełniała suknie. Zwykłe śmiertelniczki, które same muszą myśleć o swoim stroju, winny też, kładąc klejnoty, myśleć o całości i baczyć przedewszystkiem by klamra paska i reszta biżuterji się nie kłóciły. Inne finezje mistrzów mody są i tak dla nas nieistotne, bo obliczone na kieszeń amerykańskiej klienteli, jedynej, o której, zdaje się, ci artyści myślą, kiedy tworzą. *Mewa* (Paryż)

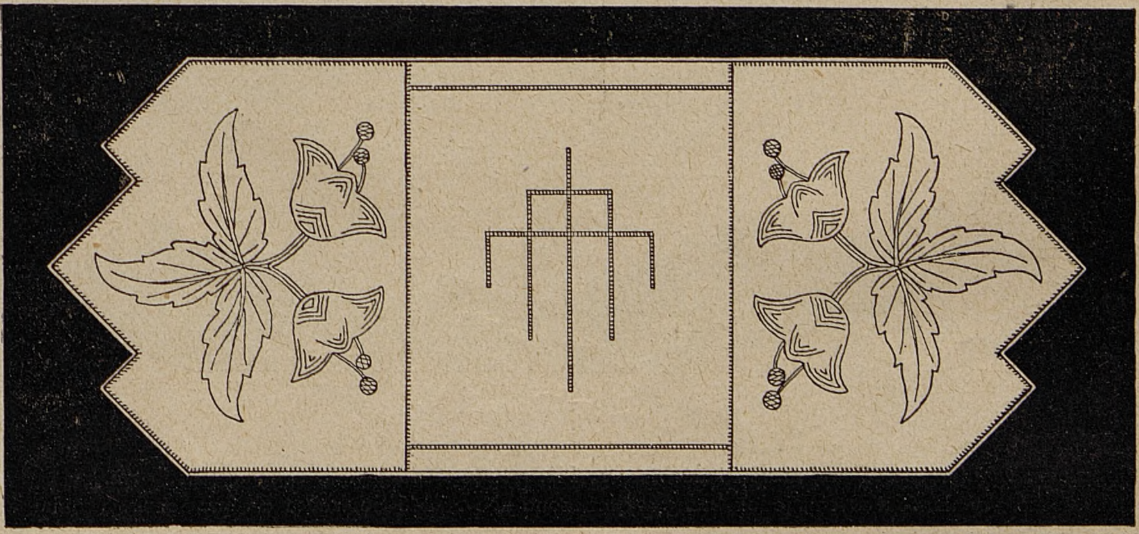


Komplet sypialniany wykonany z opalu i tiulu, ozdobiony inkrust. tiulową, haftem na tiulu i mereżkami

Rys. 138



Rys. 139



Rys. 140

138 Firanka, wymiar 150 x 250 *cm*; aby uzyskać wymaganą szerokość, dosztukowano do jednej szerokości opalu pas 40 *cm* szeroki; sztukowanie wykonano haftem gipiurowym, drugą drabinkę wykonano w ten sam sposób w całym materjale, brzegi materjału tworzą brzegi firanki.

139 Kapa na łóżko 190 x 200 cm; do całej szerokości opalu (110 cm) dosztukowano 2 falbany tiulowe szer. 40 cm każda.

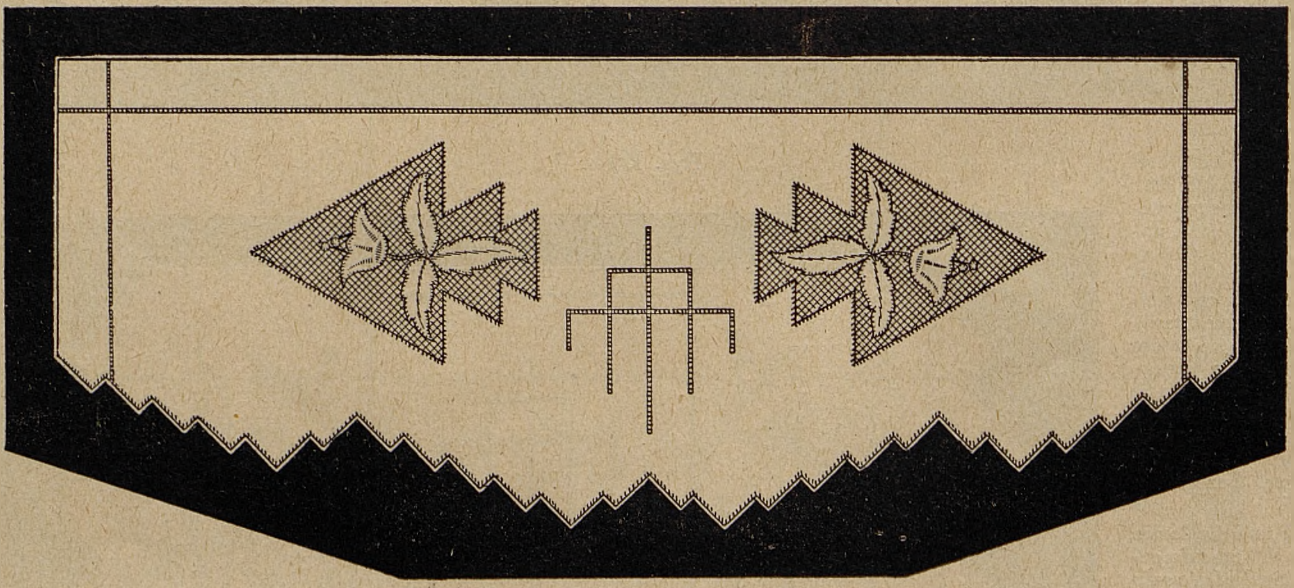
140 Pas na psyche, wymiar 75 x 30 cm.



141 Kapka na poduszkę, wymiar opalu 75 x 75 cm, falbana tiulowa 75 x 25 cm.

142 Fartuszek na kołdrę, wymiar 115x45 cm, jeden brzeg wykończono ząbkami, trzy inne mereżką.

Rys. 141



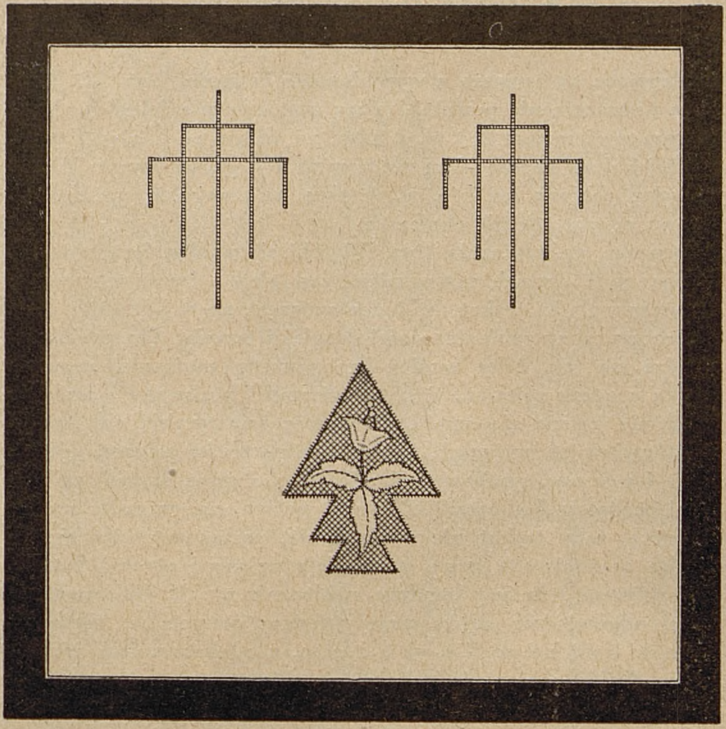
Rys. 142

143 Poduszka, wymiar 75 x 75 cm, mereżki jak na rys. 141.

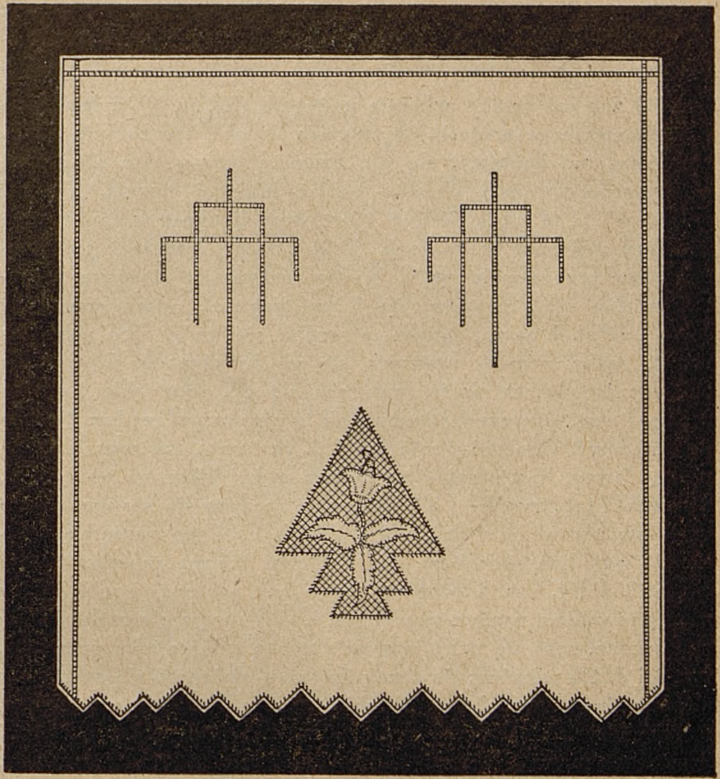
144 Zazdrostka, wymiar 55 x 60 cm, jeden brzeg wykończono ząbkami, trzy inne mereżką.

145 Jasiek, wymiar 40 x 36 cm.

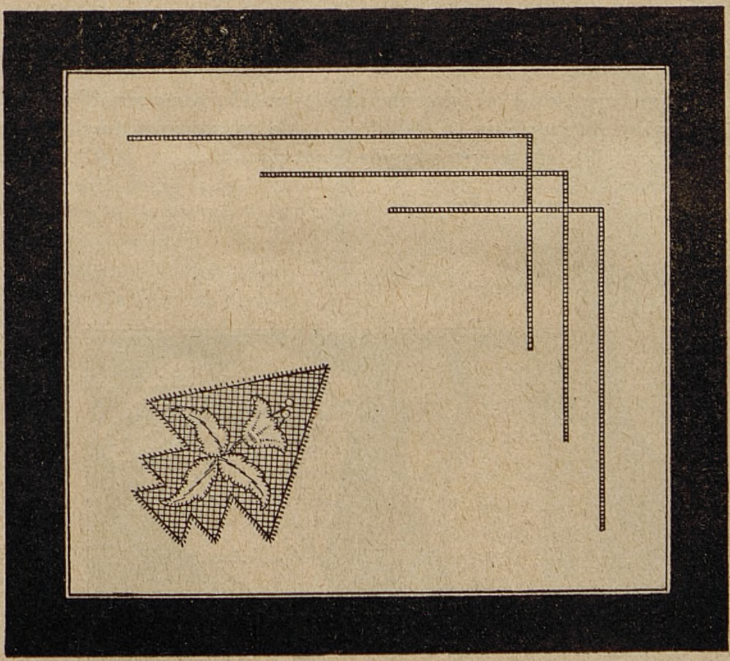
146 Serwetka na przyłóżek, wymiar 30 x 40 cm, dwa brzegi wykończono ząbkami a dwa mereżką.



Rys. 143



Rys. 144



Rys. 145



Rys. 146

BIAŁA PERUCZKA

(Dokończenie art. ze str. 485)

Valeska Gert: Nie lubię siebie w peruce ani na scenie, ani na balu. Mój kolor włosów i kształt w jaki okalają twarz jest dla mego typu niezbędny. U innych kobiet podobają mi się przy czarnej toalecie białe peruczki, ale tylko jako gładka fryzura chłopięca. Białe peruczki, takie jakie obecnie często na balach widujemy, wyglądają przy balowych toaletach wprost strasznie, gdyż nadają się jedynie do kostjumu rokoko.

Lilly Flohr: To, że peruka jest czemś nienaturalnem — wcale przeciwko niej nie przemawia. Każda moda jest nienaturalna, gdyż nie dostosowuje się do kształtu ciała takiego ludzkiego, jakim go natura stworzyła, lecz do upodobań i kaprysów danej epoki. Peruka odpowiada pragnieniom odmian w sylwetce kobiecej, która mimo częste zmiany w ubraniu, pozostaje właściwie ta sama i to właśnie dzięki stałej barwie włosów. A ponieważ — z powodu trudności technicznej natury — niemożliwe byłoby przefarbowywanie włosów codzień do każdej sukni, dlatego przyszła moda peruczki.

A zresztą — dlaczegożby nie?

Ossi Oswalda: Nie można zaprzeczyć temu, że chłopięca fryzura, mimo całą jej praktyczność, już się przeżyła. Moda usiłuje złamać jej upór i na początek wprowadza peruczkę, której uwodzicielski wdzięk znamy z epoki rokokowej. Peruczki kolorowe nie mają we mnie zwolenniczki. Zaś na wprowadzenie peruczki do codziennego użytku zapatruję się sceptycznie. Poco narażać biednych mężczyzn na rozczarowanie, gdyby tak przypadkowo zobaczyli panią swoich myśli bez peruczki.

Efeb.

KURS TRYKOTARSTWA

KTO zna już sztukę robienia pończoch (ob. nr. 20), z łatwością zrobi kamasze na drutach. Wprawdzie dorośli, szczególnie panie, nie noszą już kamaszy, ale dla dzieci stanowią one niezbędną część garderoby przy obecnej bardzo krótkiej modzie. Zamiast getrów włożą je także chętnie sportowcy, ziębnący w stopy, a nie znoszący pończoch wełnianych. Taki kamasz, kończący się poniżej kolan, przedstawia rys. I. Wyłóg zaczyna się ściegiem patentowym 2 o. gł. 2 nawywr., na 1 cm długości, potem następuje ścieg 1 o. gł. 1 nawr., przyczem wrabia się wzór, albo robi bez wzoru, tylko później wyszywa się go krzyżykami. Gdy wyłóg osiągnie żądaną szerokość, wywraca się go, robi jakie 2 cm po 2 o. gł. i naw., przyczem odejmuje się w pierwszym rzędzie 2 oczka dla zwężenia. Cholewkę robi się 1 o. gł. 1 naw., ze spuszczaniem podług formy. Nad przegubem można zrobić kilka cm po 2 o. gł. 2 nawywr. (ob. rys. III i V), następnie zaczyna się stopkę. Oczka dzieli się równo na 4 druty. Na dwóch robi się zapiętek i zakańcza zwykłym sposobem, rys. 1. Oczka boczne zapiętka bierze się na 2 druty, rys. 2 (dopiero jeden bok nabrany) i robi klinek z odejmowaniem wzdłuż stopki, rys. 3. Gdy wszystkie oczka klinka spuszczone, robi się dalej języczek trochę zwężony ku przodowi, rys. 3 i 4. Po zakończeniu oczek języczka wykańcza się cały brzeg stopki różnemi sposobami. Obrabia się go np. szydełkiem ścisłemi oczkami, rys. 3. Albo nabiera się wszystkie oczka brzegu i robi 2 rzędy nawywr., 1 rząd gładko, wreszcie zakończa nawywr. rys. 4. Przy obydwu sposobach należy uważać, żeby brzegów nie ściągać. Przy sposobie widocznym na rys. 4 należy dodać oczka na rogach języczka. Wreszcie można brzeg zalamować mocną taśmą; co się praktykuje głównie, gdy się robi całe kamasze oczkami gładkiemi, rys. IV.

Strzemiączko można również zrobić z włóczki, robiąc równy pasek wciąż gładko.

Rys. II przedstawia kamasz dla dzieci, robiony cały 1 o. gł. 1 nawywr., ze spuszczaniem poniżej łydki. Bardzo ciepłe i mocno przylegające są kamasze z wyrobionemi kolanami, rys. III. Zwężenia i rozszerzenia powstają przez zastosowanie ściegów. Tak zaczyna się ściegiem 2 o. gł. 2 naw., na kolano po 1 o. gł 1 naw., poniżej kolana znowu kilka rzędów po 2 o. gł., 2 nawywr. Część na łydce robiona po 1 o. gł., 1 naw., w przegubie po 2 o. gł. 2 naw., stopka tak jak cholewka.

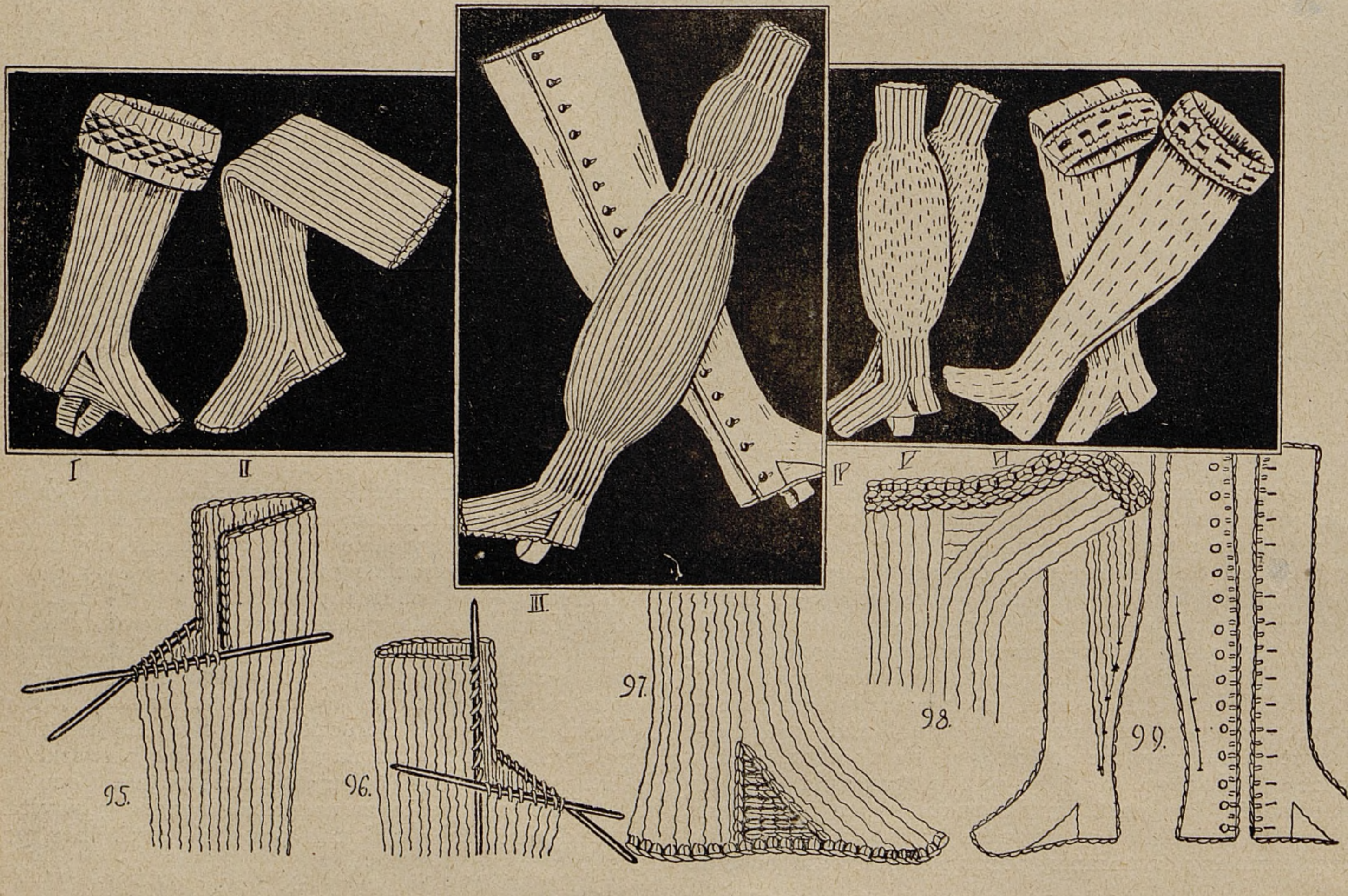
Kamasze do zapinania (rys. IV) robi się podług formy: rys. 5. Robiąc na 2 drutach naprzemian rząd gładko i rząd nawywrót, otrzymamy gładki trykot. Na łydce spuszcza się w oddaleniu 1 cm od brzegu. Przy robieniu części drugiej i trzeciej (do zapinania) urządza się tak, żeby wzdłuż brzegów do zapinania powstała dróżka z oczek nawywr., tj. co drugi rząd 2 oczka naw., przez co brzeg nie będzie się odwijał. Równocześnie wrabia się dziurki w odpowiednich miejscach. Gdy wszystkie części gotowe, prasuje się je i zeszywa, a nakoniec lamuje, albo obrabia szydełkiem ścisłemi oczkami. Pod guziki i dziurki poleca się przyszyć mocną tasiemkę, żeby trykot nie wyciągał się, przyczem zacina się tasiemkę w miejscach gdzie przypadają dziurki i obrabia łącznie.

Praktyczną odmianę kamaszy uwidocznia rys. V. Dla starszych dzieci odpowiednie są kamasze podobne do getrów, przyczem cholewki robi się po 5 o. gł. a 1 naw., z odejmowaniem według formy. Wyłóg robiony jednakowo na obie strony można wyłożyć aż na kolana.

Dla najmniejszych dzieci zdobi się często brzegi szydełkowanemi pikotkami z tej samej albo innej barwy włóczki, urządza górny brzeg do przewleczenia z pomponikami itp. Wesoło wyglądają kamaszki z trykotu ręcznego, całe wyszyte kolorowemi włóczkami. Inną ozdobą chętnie stosowaną jest baranek z włóczki, podany w dawniejszej części kursu.

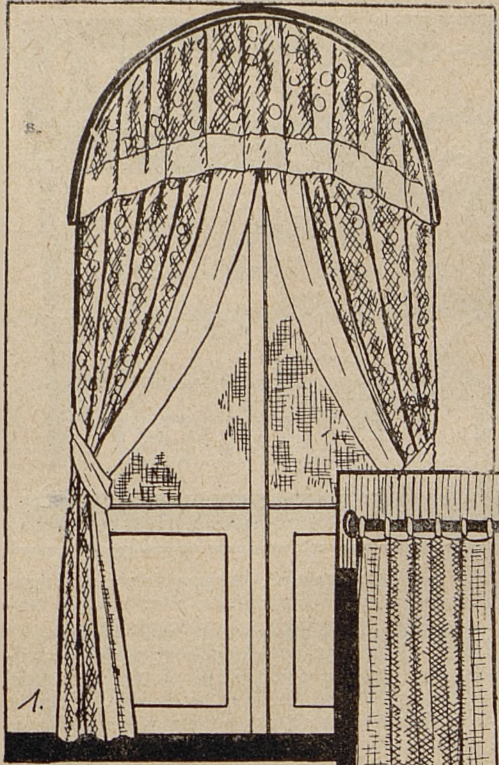
Na kamasze nadaje się włóczka niezbyt miękka a mocna. Włóczki z rodzaju zefirowych są za delikatne i nie wytrzymują tarcia, na jakie narażają małe urwisze swoje kamasze.

Z. Kulczycka

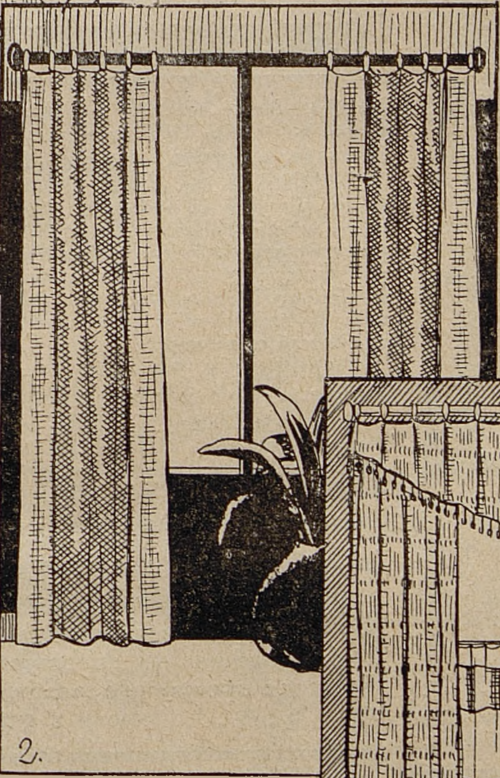


KĄCIK PRAKTYCZNY

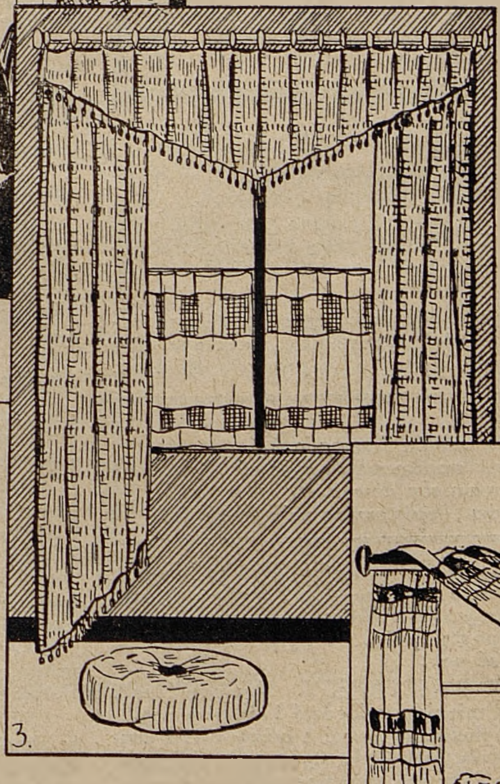
MODNE FIRANKI



Opatrzyły się już tiulowe firanki, spowszedniały koronkowe i markizetowe, a nawet jedwabne, ozdobione wstawkami i motywami. Pracowity haft ręczny zachował n a d a l swój urok, ale któż może trawić tyle czasu nad krosnami, kiedy sport zdobywa coraz więcej zwolenniczek, coraz więcej kobiet oddaje się pracy zawodowej i coraz głośniej wzywają higjeniści do oszczędzania oczu i używania ruchu na świeżem powietrzu.



Praktyczna moda znalazła rozwiązanie dla kwestji firanek, dopuszczając materjały, jakich dotąd nie używano na ten cel. I tak widzimy markizety w kolorowe wzory jako wesołe i praktyczne firanki, których draperje są możliwie proste i nieskomplikowane. Do okien, wystawionych na silne promienie słoneczne, oczywiście nie radzimy ich używać, gdyż nie posiadamy jeszcze farb zupełnie odpornych na światło, jakie wynaleziono już za granicą. Barwne te markizety wykańcza się falbankami, zawsze chętnie stosowanemi w sypialni i buduarze, frendzlami, albo kombinuje z gładką stonowaną markizetą, rys. 1.



Obok markizety używa się kretonów, podobnie zastosowanych, do pokoju panieńskiego, dziecięcego i w hallu albo na werandzie. Pokoiki na poddaszu albo izdebki wiejskie na letnisku stroi się również firaneczkami z kretonu.

Jedwab należy nadal do wytwornych materjałów na firanki do salonu, sypialni, gabinetu, a w lżejszych gatunkach i wesołych barwach do buduaru.

Surowy jedwab gładki i wzorzysty konkuruje z jedwabnym rypsem i tanim sztucznym jedwabiem. Najpraktyczniejszy jest, oczywiście, surowy jedwab. Harmonijne zestawienie, dwóch kolorów uwidocznia rys. 2. Kolor sianowy z żółtym na tle ciemnych ścian wyczarowuje złotawe odblaski słońca i rozwesela pokój. Przytem podkreśla szlachetną prostotę linij nowoczesnych mebli.

Podobnie spokojnie działa nieskomplikowane upięcie firanki ze sztucznego jedwabiu na rys. 3. W ten sam sposób można ułożyć w ciemnym pokoju przejrzysty materjał w kratę, np. madras. Zakończenie z grelotków albo paciorków może być zastąpione przez frendzle albo kutasiki do prania. Skromne witrażki-zazdrostki z muślinu ozdobione w pliski z gęstszego materjału w tym samym kolorze albo w barwie dostosowane do firanek.

Na kilkakrotne zapytania naszych Szanownych Czytelniczek, jakie też firanki uchodzą w pokoju w stylu ludowym odpowiada rys. 4. Odpowiednio do stylu użyjemy pasiaka albo szala z szarego płótna z tkanemi ręcznie albo wyszywanemi pasami. Strojne materjały nie są stosowne do urządzenia w stylu ludowym. Portjery kilimowe albo inne wełniane są nieco za ciężkie. Jeśli użyjemy ich jednak, damy dla rozweselenia krótkie storki do ściągania z gładkiego muślinu i bez ozdoby.

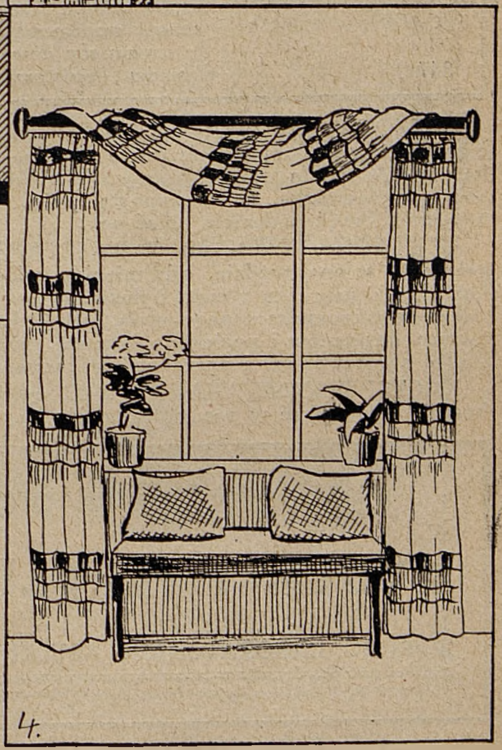
Upięcie firanek powinno być skromne i nieskomplikowane. Stosuje się wprawdzie zawsze jeszcze wymyślne draperje, chmurki i t. p., ale jedynie w pokojach o meblach ozdobnych albo antycznych, których styl nie dopuszcza prostych firanek.

Dziś dba się o to, żeby okno służyło pierwotnemu swemu przeznaczeniu, t. j. rozjaśnieniu pokoju. Nie zasłania się go więc zanadto, tylko wpuszcza światło pełnemi snopami a zakrywa właściwie tylko futryny, bez osłaniania szyb.

Bardzo praktyczne są firanki do ściągania, rys. 1, 2 i 3, służące wieczorem jako story.

To też używamy na k a r n i s z e prostych drążków mosiężnych. Moda lansuje wprawdzie na nowo karnisze w postaci gładkich albo wygiętych (rys. 1) listew, ale daleko praktyczniejsze są drążki do rozciągania, gdyż można je dostosować do każdego okna. Przytem bardzo łatwo upinać na nich firanki zapomocą mosiężnych kleszczyków.

Z. Kulczycka



Artystyczne cerowanie i wstawianie łatek

tak brzmi tytuł jednego z artykułów zawartych w *„IV Almanachu Świata Kobiecego”*, który wkrótce się ukaże.

DOBRA GOSPODYNI

JESZCZE RAZ O MAŚLANCE. Wspominaliśmy niedawno o właściwościach maślanki i dodatniem działaniu przy niedomaganiach narządów trawienia. W jednym z dzienników niemieckich czytamy, że można przypisać dobry wynik kuracji maślankowej nietylko brakowi tłuszczu i zawartości kwasu mlecznego, ale także lecytynie, którą według p. Kleinböhla maślanka zawiera o 100% więcej od mleka. Znaczenie lecytyny dla organizmu jest dostatecznie znane. Maślankę należy pić świeżą i chłodną.

Z maślanki można sporządzać różne potrawy; np. budyń. Rozkłócić w 1 l maślanki łyżkę mąki ryżowej albo kukurudzianej, postawić na blachę i gotować mieszając pół godziny. Dodać 3 łyżki cukru, zagotować jeszcze raz, następnie ostudzić powoli. Gotować należy w kamiennem naczyniu i mieszać porcelanową albo drewnianą łyżką.

W Holandji gotuje się krupy jęczmienne, namoczone poprzednio przez noc w gorącej wodzie, na maślance.

Dobrym środkiem przeciw chrypce i kaszlowi jest maślanka z miodem.

„Miód" z maślanki sporządza się w następujący sposób: Rozpuścić na 1 l maślanki 1/2—1 kg cukru i gotować, mieszając, przez 1 1/2—2 godziny. Zależnie od ilości cukru i trwania gotowania miód będzie jaśniejszy albo ciemniejszy. Miodu tego nie można długo przechowywać. Smak można poprawić przez dodanie prawdziwego miodu.

SMAŻONE SELERY. Ugotować małe oczyszczone selery w wodzie ze solą. Odcedzić wodę gdy zmiękną, przekroić, maczać w jajku i bułeczce, posolić i popieprzyć i usmażyć w gorącym tłuszczu.

DUSZONA KAPUSTA WŁOSKA. Rozkroić główkę kapusty i gotować w solonej wodzie przez 20 min. Odlać wodę i wyciąć kaczan. Do rondla włożyć pokrajaną marchew, małą rzepę, seler, cebulę i pietruszkę, na to kapustę, polać 1/2 l rosołu i dusić aż zmięknie. Przed podaniem odlać sok.

CZERWONA KAPUSTA Z KASZTANAMI. Ugotować całe główki w solonej wodzie, gdy miękkie odcedzić i drobno posiekać. Zrobić zaprażkę z mąki i tłuszczu, dodać 1 łyżkę cukru zrumienionego i rozpuszczonego wodą, soli, 1/4 kg ugotowanych i przetartych kasztanów i posiekaną kapustę, wymieszać i zagotować. Podać z gotowanemi i duszonemi w karmelu kasztanami.

KACZKI Z KASZTANAMI. Kaczki upiec i podzielić. Wyjąć kostki, wygotować w rosole, powstały sos zgęścić ciemną zasmażką. Obrać kasztany z łupki, sparzyć, ściągnąć skórkę i ugotować na rosole. Gdy zmiękną, przetrzeć przez sito. Dodać trochę sosu, zamieszać i podać na półmisku z cząstkami kaczki.

ZIEMNIAKI NA ZIMĘ nie mogą być przechowywane w wilgotnej piwnicy na podłodze. Bardzo praktyczne okazały się paki z łat, w których ziemniaki mają dostateczny przewiew. Paki te powinny spoczywać na nóżkach tem wyższych, im więcej wilgoci jest w piwnicy. Dno paki powinno także być sporządzone z łat. Miejsce na którym stoi paka należy posypać niegaszonem wapnem dla unieszkodliwienia owadów i ślimaków, które mogłyby się znajdować w piwnicy.

ZMARZNIĘTE ZIEMNIAKI odzyskają dobry smak, gdy się je przeniesie na dłuższy czas do wyższej temperatury, np. do kuchni.

PRZYPALENIA SIĘ RYŻU, sago i t. p. można uniknąć w następujący sposób. Wsypać ryż lub t. p. do wysokiego sita w całości drucianego i zawiesić w garnku z wodą, która powinna pokrywać zawartość. Wodę należy posolić jak zwykle, do ugotowania krup czy ryżu na sypko trzeba dodać trochę masła do wody. Krup nie trzeba mieszać; gdy się ugotują, wyjąć wraz z sitem z garnka.

TANI TORT Z JABŁEK. Obrać jabłka, pokrajać po wykrojeniu pestek i ugotować ze skórką cytrynową, kawałeczkiem masła i odrobiną wody. Gdy jabłka się rozgotują, dodać cukru do smaku i łyżkę mąki ryżowej. Formę tortową wysmarować masłem i wysypać suto utłuczonemi sucharkami. Nałożyć warstwę powyższego powidełka z jabłek, na to warstwę cieniutkich sucharków i tak naprzemian, aż forma się wypełni. Na sam wierzch dać powidełko i posypać utłuczonemi sucharkami. Wstawić do rury aż się tort nawskróś zagrzeje, następnie wyjąć, ostudzić i wyrzucić na tackę. Podać następnego dnia z pianką z białek albo śmietanki.

LEGUMINA Z SUCHARKÓW Z PIANKĄ. Rozkłócić 8 żółtek w skąpym litrze mleka, dodać skórki cytrynowej i 4 łyżki cukru. Namoczyć w tem 3/4 funta sucharków. Porcelanową formę albo miskę wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Wyłożyć trzecią częścią namoczonych sucharków, na to posypać rodzynki i konserwy z wiśni albo czereśni, następnie znowu warstwę sucharków i t. d., na sam wierzch sucharki. Przykryć wszystko szczelnie

i wstawić formę na 45 minut do kipiącej wody. Tymczasem ubić białka z cukrem, wyłożyć piankę na leguminę i zapiec w rurze na rumiano. Można podać w formie gorące albo zimne.

SZCZOTKI DO FROTEROWANIA trzeba co pewien czas namoczyć w wodzie z sodą, gdy szczeć już się nie zlepia, wypłókać starannie w wodzie i wysuszyć.



TOWAROZNAWSTWO

Futra. Szerokie zastosowanie futer w obecnej modzie doprowadziło do wzmożonego naśladowania futer szlachetnych przez mistrzowskie farbowanie, strzyżenie itd. futer mniej cennych. To też rozpoznanie futer jest bardzo trudne dla laika, a nawet czasami dla kuśnierza, który częstokroć jedynie zapomocą badania mikroskopijnego może odróżnić imitację od prawdziwego futra. Doniedawna wystarczyło zbadać, czy skóra futra zachowała naturalny



kolor, czy też jest ufarbowana. Dziś farbuje się przy droższych imitacjach jedynie włos a czasem tylko końce albo też spód włosów inaczej jak wierzch, analogicznie do futer szlachetnych, które nietylko przerabia się w naturalnej barwie, ale także zmienia przez zafarbowanie końców włosa na inny kolor. Czarne baranki perskie, krymskie, astrachańskie i szerokoogony (Breitschwanz) nie są w rzeczywistości zupełnie czarne, to też farbuje się je bez wyjątku, a piękny połysk nadaje przez specjalne zabiegi. Niektóre futra upiększa się przez wyrywanie twardych włosów sierści a pozostawienie tylko puchu aksamitnego, jak np. foki, piżmaki i inne.

Do naśladowania szlachetnych futer używa się skór królików, w szczególności białych, czarnych i niebieskich, zajęcy białych i pospolitych, kotów, piżmaków i pospolitych lisów.

Dziś przyjęto powszechnie noszenie udałych imitacyj, gdyż przy wysokiej cenie futer szlachetnych tylko bardzo zamożni mogą sobie pozwolić na taki luksus. Zapomocą wyciskania, prasowania, strzyżenia we wzory itp. urozmaica się i upiększa niedrogie futra, które uzupełniają i przybierają naszą odzież nietylko w zimie, ale także i w lecie.

W szlachetne futra zaopatruje nas Ameryka, Azja — w szczególności Rosja, Skandynawja i poczęści Rumunja, która dostarcza skórek baranich. Najważniejszym targiem futrzanym na środkową Europę jest Lipsk. Słynne farbiarnie rozsyłają swe wyroby na wszystkie rynki i doprowadziły do doskonałości sztukę farbowania, apretowania i wyprawiania szlachetnych futer i sporządzania



pierwszorzędnych imitacyj. Przed wojną Rosja celowała w garbowaniu i farbowaniu; dziś przemysł ten podupadł znacznie wskutek przewrotów politycznych, a utrudniony handel ze wschodnim sąsiadem pozbawił nas poczęści bezpośredniego nabywania doskonałych futer rosyjskich.

Sobole dziś już bardzo rzadkie, są czarne albo bronzowe. Wzdłuż grzbietu biegnie ciemniejsza pręga dłuższych włosów sierści. Przedziwny połysk pochodzi stąd, że poprzez sierść prześwieca miękki puch. Soboli dostarcza Syberja i Kanada.

Szynszyle należą do najdroższych futer. Pochodzą z południowej Ameryki od pewnego rodzaju szczurów. Skórka jest bardzo cienka, włos nadzwyczaj miękki i delikatny, przy skórze ciemno-popielaty, a u góry srebrzysty o bronzowawych końcach.

Gronostaje to rodzaj łasic, które swe jasno-bronzowe futro letnie zmieniają w zimie na białe. Koniuszek ogonka pozostaje czarny. Zwierzątko to żyje na Północy w stosunkowo znacznej ilości, ale jest bardzo małe, wskutek czego okrycia gronostajowe wypadają bardzo drogo. Brzuszek gronostajów jest żółtawy, a zczasem całe futerko nabiera żółtawego odcienia, czem się też wybitnie różni od imitacyj z królików. Włos jest dość przylegający i mniej puszysty jak króliczy.

Zahukana Babka. — Dziś niema starych Babek; wszystkie są pełne energji i ochoty do pracy. Każda chce być pożyteczna swoim bliskim i społeczeństwu. Radzimy wnuczkę krótko trzymać, nie pozwolić się traktować poniżej godności osobistej, mieć zawsze swoje zdanie i odwagę podtrzymania go, gdy zajdzie potrzeba. Niesforne dziewczęta zdobywa się taktem i konsekwentnem postępowaniem. Wyrozumiałość powinna mieć granice, a logika i konsekwencja nie muszą być w niezgodzie z dobrocią i przywiązaniem do wnuczki. Jeżeli panienka jest „ultra-postępowa", musi zapewne wiedzieć, że Babki są obecnie w modzie i nikt im nie wyznacza miejsca na fotelu z kółkami. Natomiast zachowanie się wnuczki jest już nieco przestarzałe; w Ameryce i w Anglji młode panny zarzuciły wyzywające manjery w towarzystwie, a opryskliwość wobec rodziny. Co więcej — przestały palić, t. j. udawać, że nałogowo palą, nie pokazują nóg do połowy uda, są układne i miłe w obejściu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Młoda gospodyni. Plamy z much na olejnych obrazach i złoconych ramach czyści się sokiem z cebuli. Utrzeć cebulę, przecedzić sok i nacierać nim zanieczyszczone miejsca. W razie potrzeby powtórzyć zabieg kilkakrotnie. Sok z cebuli odświeża obrazy i ramy i nadaje im połysk.

Zofja F. P. Radzimy zwrócić się do Państwowego Instytutu Robót Ręcznych w Warszawie, ul. Górczewskich, albo do Dyrekcji Szkoły Przemysłowej we Lwowie, ul. Snopkowska.

Janina. — W centrum miasta są dwa pensjonaty: „Anuta", ul. Kopernika 3 — i „Polonja", ul. Batorego 34.

Odpowiedź zbiorowa dla pań: *W. Rz., Haliny B., Zrozpaczonej, Al. Par., Marji Skol.* — Wszystkie wady kosmetyczne wymienione w poszczególnych listach, t. j. zmarszczki, plamy żółte, wypryski, brodawki, zbyteczne owłosienie, żylaki, znamiona, dadzą się usunąć, jedne drogą operatywną, inne kolorowem światłem, prądem elektrycznym, zastrzykami. Co zaś do nadmiernej tuszy, to i ta da się zredukować w niedługim stosunkowo czasie, a bez szkody dla zdrowia, zastrzykami nowo wynalezionego środka. Adresy lekarzy ordynujących w tym zakresie możemy podać jedynie listownie. Jeżeli chodzi Paniom o zachowanie nazwisk w tajemnicy, można podać poste restante. Jakkolwiek zaznaczyć wypada, że sprawy kultury ciała nie powinny dla nikogo być rzeczą wstydliwą, a raczej wprost przeciwnie zaniedbywanie ich i bagatelizowanie.

Ada Kor. — 1. Kolor najbledszy lawendowy; wianuszki z bladoróżowych pączków róży z gatunku pnących. — 2. Czarne kapelusze bardzo modne; na ulicę utrzymał się mały fason. — 3. Woalki są noszone i przesłaniają oczy do połowy noska, rzadko nieco niżej. — 4. Wachlarze, złożone z poszczególnych, długich strusich piór, są w tym roku zarzucone; powróciły do mody dawne składane fasony, a koronkowe wybijają się na pierwszy plan.

Nauczycielka. — 1. Słownik encyklopedyczny francusko-polski dostać Pani może na dogodne spłaty po zwróceniu się do Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, ul. Akademicka 2, albo Warszawa, Wilcza 3. Jest to wydanie niezwykle wartościowe, obszerne i uwzględniające słownictwo powojenne. — 2. Czwarty Almanach Świata Kobiecego ukaże się z końcem listopada i zawierać będzie niezwykle cenne a praktyczne artykuły z dziedziny kosmetyki, kultury wnętrz, robót ręcznych, gospodarstwa domowego, nakryć stołowych, czyszczenia plam i t. d. Prenumeratorki, które uiszczą zgóry półroczną opłatę, otrzymają IV Almanach jako premję. Można go będzie również nabyć na raty.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska.**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3.

Telefon administracji: 4-32 Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34

WŁASNY WYRÓB

KOŁDRY - MATERACE

Gotowe Prześcieradła pod kołdry od zł. 11·50
„ „ na pościel „ „ 5·60
„ Poszewki „ „ 3·—

PŁÓTNA, SZYFONY, OBRUSY, RĘCZNIKI

CENY FABRYCZNE — CENY FABRYCZNE

KOCE, KAPY, FIRANKI, DYWANY I T. P. — najtaniej sprzedaje

FABRYKA POŚCIELI

A. PIETRUSZEWSKI — M. MLEKO

LWÓW, UL. KORALNICKA L. 6 — TELEFON 37-72

760

Gütermann

jedwab do szycia



ALBUMY MODY

Różnorodność — Oryginalność — Wytworność modeli — Nieprześcignione żurnale:

Stella	Zł.	3·70
Star Nr. 21 — 65 modeli kolor., 136 niekolor., tablice z mod. bielizny i garderoby dziecięcej .	„	6·—
Smart Nr. 28 — 43 modeli kolor., około 150 niekolor., duży wybór modeli garderoby dziecięcej i bielizny	„	5·—
London Styles Nr. 20 — Około 50 najnowszych modeli płaszczy i kostjumów	„	10·40
Confection Moderne Nr. 16	„	5·20
L'Enfant Nr. 17	„	3·50
La Lingerie Moderne Nr. 16 zawiera duży wybór modeli bielizny damskiej, męskiej i dziecięcej oraz pościelowej	„	4·40
Nouveaux Costumes et Manteaux Nr. 9 . .	„	5·—
La Tailleur Moderne Nr. 7	„	10·50
„ „ „ Nr. 8	„	10·50
The Coming Season Nr. 41	„	10·50
„ „ „ Nr. 42	„	10·50
Le Croquis Original Nr. 31	„	10·50
„ „ „ Nr. 32 — 25 modeli kolor. najnowszych sukien skromnych i toalet wieczorowych	„	10·50
Les Grands Modeles Nr. 12	„	30·—
„ „ „ Nr. 13	„	30·—

Księgarnia Polska B. Połonieckiego, Lwów

RUDOLF PÜRTZL

Fryzjer w Hotelu George'a — Tel. 55-90

dyplomowany na Wystawie Międzynarodowej w Paryżu w 1927 zawiadamia uprzejmie, że po znacznem powiększeniu

SALONU CZESANIA PAŃ

i po wyposażeniu takowego w największy komfort, wykonuje farbowanie włosów L'Oriental, Henna Gora, Komol i L'Oreal, Henne oraz brwi i rzęs. Stała i wodna ondulacja, strzyżenie i mycie włosów, masaż twarzy, manicure.

Ceny konkurencyjne, obsługa bardzo solidna

Uwaga: ZAKŁAD FRYZJERSKI RUDOLFA PÜRTZLA, nast. I. JAHLA mieści się tylko w Hotelu George'a, wchód z ul. Sienkiewicza, drugie wejście przez Hotel George'a

Zawiadamiam, że na obecny sezon sprowadziłem pierwszorzędnych współpracowników damskich z Warszawy i zagranicy 737



Panna Młoda z Górnego Śląska powiada:

Moja bielizna jest zawsze śnieżnobiała, bo w wyborze mydła jestem bardzo ostrożna. Używane przezemnie mydło musi oszczędzać bieliznę, być wydajne i tanie. Dlatego też zawsze kupuję:

MYDŁO JELEŃ SCHICHT

Jedyna we Lwowie **GORSECIARNIA** na styl francuski

TYLKO POD FIRMĄ **„HIGJENA" R. KÖRNER**

LWÓW — Pasaż Mikolascha

II piętro nad kinem „Uciecha" — Telef. 51-24

Poleca: Pasy gumowe, szlipfery, biodrówki, podwiązki, biustonosze, reformy jedwabne i trykotowe, **opaski** oraz **reformy menstrualne** 833

Szanuj drogie dziecię moje — w małem ziarnku przyszłe plony, w małej kropli pełne zdroje — w szelągu miljony!

MIEJSKA KASA OSZCZĘDNOŚCI

Centrala: Wałowa 9 WE LWOWIE Oddział: I Gródecka 60

przyjmuje wkładki w złotych i dolarach

Najpewniejsza i najkorzystniejsza lokata oszczędności!

Kto pragnie zapewnić zdrowie i przyszłość swym dzieciom, składa na książeczki wkładkowe **„wakacyjne, gwiazdkowe i posagowe":**
SKARBONKI OSZCZĘDNOŚCIOWE, które są najskuteczniejszym sposobem oszczędzania drobnych kwot, wydaje Kasa **bezpłatnie** za złożeniem wkładki zł. 5·—. Dla nadsyłania oszczędności z prowincji wysyła Kasa czeki PKO. bezpłatnie. Za wkładki i ich oprocentowanie ręczy Gmina miasta Lwowa całym swym majątkiem! 852

Kto codzień oszczędza, będzie miał w potrzebie!

WYROBY KOSMETYCZNE

SŁYNNEJ FIRMY

ELIZABETH ARDEN

829

POLECA WYŁĄCZNY SKŁAD

A LA VILLE DE PARIS

GABRYEL STARK

LWÓW, PLAC MARJACKI 11



Wyłączne zastępstwo na Małopolskę Wschodnią **P. Mikolasch, Lwów**

325

„Un Air Embaumé"

RIGAUD PARFUMEUR — PARIS 16. Rue de la Paix



Poleca znane w całym kulturalnym świecie perfumy
UN AIR EMBAUMÉ – PAS PLUS CHIC
MARY GARDEN – CAMIA – LE LILAS
Żądać wszędzie.

FUTRA męskie i damskie miastowe, podróżne i t. p. — w wielkim wyborze poleca

M. A. AUGUSTYN

MAGAZYN FUTER

LWÓW — RUTOWSKIEGO 7

Przyjmuje również wszelkie roboty w zakres kuśnierstwa wchodzące.

828

PRZECIW CHUDOŚCI!

Przez użycie naszego wspaniałego środka odżywczego **PLENUSAN** — w krótkim czasie znaczne przybranie w wadze, wygląd kwitnący i pełne formy ciała. Również wzmacniający środek dla krwi i nerwów, przez lekarzy polecane. 1 pudełko zł. 6·—, 3 pud. zł. 15·— 846

Dr. GEBHARD & Co, GDAŃSK — nr 43

WEŁNY NA SUKNIE i płaszcze damskie

JEDWABIE, SUKNA na ubrania męskie

poleca 849—7

J. STEFANOWICZ

dawniej R. ZUBIK

LWÓW, ulica HALICKA 16

INSERUJCIE „W ŚWIECIE KOBIECYM"



Pianina BECHSTEINA

i nasze doskonałe ARNOLDA FIBIGERA

z gwarancją polecamy

KAIM i SYN — Lwów, Kopernika 16

Tel. 20-45.

Warunki i ceny do dyspozycji

689

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY

SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09

Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

699

JUŻ NADESZŁY NAJMODNIEJSZE MATERJAŁY

na ubrania i płaszcze męskie oraz na suknie i kostjumy damskie. — Jedwabie, pończochy i wszelka galanterja w największym wyborze. — Główny skład wyrobów Leszczkowskich NOWO ZESORTOWANY SKŁAD OBUWIA I ŚNIEGOWCÓW — poleca pod nowem kierown.

MAŁOPOLSKI ZAKŁAD ODZIEŻY — **ŻUROWSKI, ZALESCY i Ska** — **Ska z ogr. odp. Lwów, Szpitalna 1, Tel. 53**

Na dogodne spłaty w 6 miesięcznych ratach

W CENTRALI POŃCZOCH PFAU

LWÓW, RYNEK L. 19 (WCHÓD PRZEZ SIEŃ)

WYBÓR OLBRZYMI — TOWAR NAJLEPSZY, A NAJTANIEJ

682